

Nr 3 (94)

2023



ISSN 1732-1069

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM

CZASOPISMO LITERACKIE



PEGAZ
LUBUSKI



CZASOPISMO LITERACKIE PEGAZ LUBUSKI NR 3 (94) 2023

ISSN 1732-1069

Wydawcy:

Związek Literatów Polskich – Oddział w Gorzowie Wielkopolskim

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta

ul. Sikorskiego 107

66-400 Gorzów Wielkopolski

Redaktor naczelna: Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk

603 124 592 / agnieszka.moskaluk@gmail.com

Zastępczyni redaktor naczelnej: Beata Igielska

Skład: Sebastian Wróblewski

Korekta: Magdalena Turska

Druk: ZAPOL Sobczyk sp.k.

al. Piastów 42

71-062 Szczecin

W numerze i na okładce prezentujemy fotografie Marty Wrzask

Wszystkie numery „Pegaza Lubuskiego” są dostępne online na stronie

www.wimbp.gorzow.pl

Zasady współpracy z „PL”

Przekazując materiały do redakcji kwartalnika literackiego „Pegaz Lubuski”, wydawanego non profit, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i wersji online;
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw autorskich osób trzecich;
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych, oraz że ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów;
- zezwala redakcji na dokonywanie skrótów oraz korektę merytoryczną i językową nadesłanych materiałów.

W DROGĘ

Ani mi się waż na skróty! To najgorsza opcja z możliwych. Nigdzie tamtędy nie dojdiesz. I nie. Nie chodzi o to, że zabłądzisz. Albo że zapuścisz się w jakieś ostępy. Wręcz przeciwnie. W naskrótach chodzi wyjątkowo o to, by jak najszybciej i zupełnie bezmyślnie przebyć odległość od A do B (w nosie mając całą resztę alfabetu). Po prostu przedrzeć się, gwałcąc przestrzeń i ignorując czas potrzebny na...

No właśnie... Na co?

Na to wszystko, co zyskasz, wybierając trasę najdłuższą. Albo najbardziej krętą. Przez nikogo nieodkrytą. Zapomnianą. Owianą legendą. Ukrytą wśród innych, pozornie ciekawszych ścieżek.

Cokolwiek wybierzesz, od pierwszego kroku, będzie tylko twoje. No chyba, że postanowisz stawiać stopy w wygniecionych śladach innego podróżnika. Ale i tak nie dojdiesz tam, gdzie on. Krok będzie zbyt długi lub krótki. Rytm zgubisz. Stracisz czujność. Potkniesz się na tej cholernej prostej.

Wygnieć w jakiejś ścieżce własne ślady, z pełną premedytacją, wiedząc, że i tak nie zawrócisz i nie pokonasz tej drogi po raz drugi. Bo po co?

I rozejrzyj się, do cholery, dookoła siebie. Bo droga to nie tylko ta ścieżka pod stopami. Bo inaczej po co bytyby *cudne manowce*? *Niebo gwiazdziste* i *prawo moralne*? I ludzie. Wieczna inspiracja. No chyba, że kalka – wtedy to nie!

Więc pamiętaj – nie na skróty. Ale szerokopasmową też nie.

Wybierz swoją. Choćbyś błądził, krążył i tracił oddech.

Autorze!

Agnieszka Moskaluk
redaktorka naczelna Pegaza

Agnieszka Moroz

Czy gdy pomyślę
biegnij
moje stopy złożą się do biegu?
Czy nie zawróci ich mroźny wiatr
który kiedyś zawrócił
mi w głowie
a czy nie znajdą białymi kwiatami szronu?

Kiedy mówiłam
czasem chcę wybiec z domu
i biec tak długo aż zacznę znikać
nie wiedziałam
że już jestem przezroczysta

Mieszkając w ciatach
w których tak wiele rzeczy może pójść nie tak
powoli sącząc krew z niebieskich naczyń
cieńszych od kruchego szkła
jesteśmy zawsze jednakowo zaskoczeni
że życia nie można zaplanować



Foto: Marta Wrzask

Nocą upominają się o mnie
 alternatywne żywoty
 Mieszkania do których nie ma powrotu
 znów otwierają drzwi na oścież w snach
 Za nimi głodny pies
 na wpół zwiędły kwiat
 w czajniku letnia woda
 którą nie można już zalać herbaty

Wołają mnie po imieniu
 postacie na pocztówkach
 przyszpilonych do ścian pokoju z nastoletnich lat

Tak jakby całe dorosłe życie
 to była tylko gra na czas

By przetrwać zimę
 musisz odnaleźć w sobie ciepło dzikich wysp
 Wetrzeć w nadgarstki południowy wiatr
 Pozwolić rajskim ptakom śpiewać
 na gałęziach włosów

Tylko pamiętaj
 nikomu nie pokazuj serca
 groziłby mu
 śmiertelnie niebezpieczny chłód

Agnieszka Moroz: literaturoznawczyni z tytułem doktora w dziedzinie nauk humanistycznych, poetka, krytyczka literacka i recenzentka teatralna. Autorka czterech książek poetyckich, monografii naukowej *Jak uwieść czytelnika? Jonathan Carroll i Andrzej Sapkowski wobec kulturowych koncepcji śmierci* oraz licznych artykułów literaturoznawczych. Stypendystka marszałka województwa lubuskiego i (dwukrotnie) prezydenta Gorzowa. Laureatka wielu konkursów poetyckich. Prowadzi na instagramie profil Poławiaczka książek (@polawiaczkaksiążek), na którym aktywnie promuje czytelnictwo i doradza początkującym poetom.

ŻYCIE MA SENS, GDY PRZEKRACZAMY GRANICE

Agnieszka Moskaluk

Rozmowa z podróżnikiem i filozofem MARKIEM KAMIŃSKIM

Panie Marku, mówi się, że każda podróż jest albo pogonią, albo ucieczką. Bardzo często od samego siebie. Zastanawiam się, czy pan częściej goni, czy ucieka?

Hm... Nigdy nie starałem się przed sobą uciekać. W moim przypadku życie to pogoń... Chociaż nie, to nie jest dobre słowo. To wędrówka ku wiedzy, by poznać najlepszą wersję samego siebie. Dostyc wcześniej zdałem sobie sprawę z tego, że na końcu świata to właśnie siebie człowiek odnajduje.

Jeśli coś nam ciąży, to ten ciężar pocujemy nawet na najdalszym krańcu świata, prawda? Nie uciekniemy od tego, nie zgubimy takiego balastu po drodze...

Będzie zmieniała się tylko scenografia wokół nas, będą pojawiać się inni ludzie, ale problemy wciąż pozostaną nierozwiązane.

Z drugiej strony, mam takie wrażenie, że człowiek jest odbiciem swojego świata, więc im więcej zobaczy, tym ten obraz będzie pełniejszy. Lepiej też będzie rozumiał samego siebie. Drogi, które przemierzy, obrazy, które zobaczy, emocje, których doświadczy, pozwolą mu rozwijać się, kształtować swoją osobowość, radzić sobie z problemami, pokonywać trudności.

A kiedy wyrusza się w najbardziej ekstremalną podróż – na biegun?

Na biegunie jest biało.

Chodzi o to, że nic nie rozprasza naszej uwagi? Że pozornie dociera do nas niewiele bodźców?

Dokładnie. W normalnym życiu jesteśmy cały czas bombardowani najróżniejszymi informacjami, spotkamy wielu ludzi, nasze zmysły są pełne wszystkiego. A na biegunie człowiek zwraca się ku samemu sobie. I to jest ekstremalne.

Możemy lepiej poznać siebie takimi, jakimi jesteśmy. Bez kontekstów...

Jedynym kontekstem jest cel, jaki mamy do osiągnięcia i wola przetrwania w tak ekstremalnie trudnych warunkach. I muszę przyznać, że oba bieguny były niezwykle wyprawą w głąb siebie.



Foto: Agnieszka Moskaluk

Szczerze – w trakcie tych wypraw chodziło o siebie samego, czy właśnie o ten mały punkcik na mapie?

O wszystko! Ale głównie o siebie.

Naprawdę?

Tak. Ten punkcik jest bardzo ważny, ale większe znaczenie ma wszechświat, uniwersum, człowiek.

To czego człowiek dowiaduje się wtedy?

To zależy od człowieka i od tego, na co jest otwarty.

Pan na co był otwarty?

Ja na biegunach zdobyłem energię na całe życie. To cały czas jest moja niewyczerpana skarbnica mocy i wiedzy. Wydaje mi się wręcz, że ta podróż na biegun nigdy się nie skończyła. Że cały czas jestem w drodze.

Dowiedziałem się też, że życie nigdy się nie zaczyna i nie kończy. Że każdy biegun, który zdobędziemy, jest początkiem czegoś innego, nowego. Że liczy się droga i każda chwila, która dzieje się w jej trakcie. Każdy przeżyty dzień, bo każdy ma swoją unikatową wartość.

Pan, nie dość, że jest w drodze, to jeszcze zabiera ze sobą w tę podróż innych ludzi. Dostównie – podczas wypraw, i metaforycznie – szkoląc, pisząc książki, inspirując... Mam tu na myśli między innymi wyprawę na bieguny z Jaśkiem Melą. Wtedy był on chłopakiem ze znaczącą niepełnosprawnością. Dziś sam jest założycielem fundacji, mówcą inspiracyjnym, przewodnikiem w przekraczaniu kolejnych granic i zdobywaniu kolejnych „biegunów”.

Pokazaliście i nadal pokazujecie, że niemożliwe nie istnieje, że wszystko można osiągnąć, bo ograniczenia są wyłącznie w głowie...

O tak, wyprawa z Jaśkiem była czymś więcej, niż przekroczeniem granic niepełnosprawności! To była podróż w jakąś inną przestrzeń, chyba sam nawet nie potrafię zdefiniować w jaką. Myślę, że chodziło przede wszystkim o człowieczeństwo i pokazanie, że nigdy nie można tracić nadziei. To było przestanie tej wyprawy – że ograniczenia są tylko w głowie, nie w ciele.

Wystarczy się odważyć?

Tak, ten pierwszy krok jest bardzo ważny. Ale też trzeba jeszcze coś umieć. Być przygotowanym do takiego wyzwania.

Człowiek w drodze jest w bardzo specyficznej sytuacji dla siebie samego – w jakimś bliżej nieokreślonym POMIĘDZY. Z natury jesteśmy zakorzenieni, mamy swoją tożsamość, kulturę, z której wyrosliśmy, przekonania. A wyjście w świat jest otwarciem się na inne, nowe, nieznanne.

Tak jest!

Według mnie, to szczególnie istotne w czasach, kiedy inne bywa utożsamiane z obcym, niebezpiecznym czy złym; kiedy prowokuje do agresji. Tymczasem pan przekonuje, że inne jest ciekawe, może nas uczyć, wzbogacać, dopełniać... A zmieniając perspektywę – w podróży to my stajemy się tym obcym, który może coś nowego i dobrego wnieść do świata, w którym się pojawia...

Tak... (*bardzo długie milczenie*) Wyjście ze skorupy utrwalonych przekonań powoduje, że stajemy się pełniejsi, lepsi, bardziej spełnieni. Zaczynamy rozumieć, że życie ma sens tylko wtedy, kiedy przekraczamy granice. Tylko wtedy pojmemy, jak niesamowitym miejscem jest świat i jak niesamowitą istotą jest człowiek. Drugi człowiek.

A wracając do słów, że moja podróż na bieguny nigdy się nie skończyła – stworzyłem specjalny program dla młodzieży LifePlan Academy i aplikację LifePlan App, gdzie uczymy odporności psychicznej, uczymy tego, jak wychodzić poza schematy, jak mieć odwagę, radzić sobie z kryzysami i strachem; jak poznawać siebie. To teraz jest szczególnie ważne.

Więc jak?

Ja tę metodę stworzyłem, kiedy przygotowywałem się do wyprawy z Jaśkiem Melą. Nazwałem ją „Biegun”. Składa się z pięciu kroków: Odkryj swój biegun; Mapa drogi; Droga jest ważna, a nie cel; Dwa bieguny – sukces i porażka oraz Poznaj samego siebie. W skrócie metoda zakłada, że żeby zrozumieć, trzeba doświadczać.

Zatrzymałabym się na moment przy porażce. To doświadczenie, którego nie lubimy i którego się wstydzimy. Tymczasem na jeden sukces przypadają setki porażek i to one właśnie są najlepszymi nauczycielkami.

Jasne! Kiedy zdobywa się górę, to na jej szczyt nie wchodzi ci, którzy są najmądrzejsi, najpiękniejsi, najinteligentniejsi, nawet nie najzwinniejsi i najsilniejsi, tylko ci, którzy są odporni. Także na porażki.

Tak naprawdę sukces to jest góra porażek, które trzeba pokonać, żeby dotrzeć na szczyt.

Dziękuję.

MAREK KAMIŃSKI: podróżnik ekstremalny, filozof, mentor. Jako pierwszy na świecie zdobył oba bieguny Ziemi bez pomocy z zewnątrz – 23 maja 1995 roku biegun północny, a 27 grudnia 1995 roku biegun południowy, za co został wpisany do Księgi Rekordów Guinnessa. Twórca metody motywacyjnej „Biegun”, pozwalającej przekraczać granice swoich możliwości. Obecnie zaangażowany jest w projekty „LifePlan Academy”, „Power4Resilience” i Kamiński Academy. Wydał kilkanaście książek, m.in.: „Moje bieguny. Dzienniki z wypraw 1990–1998” (Gdańsk 1998); „Razem na biegun” (Gdańsk 2005); „Marek. Chłopic, który miał marzenia” (Gdańsk 2009); „Trzy bieguny. Dotknąć niemożliwego” (Kraków 2019) i „Bądź zmianą” (Kraków 2020).

25 października 2022 roku Marek Kamiński spotkał się z czytelnikami w Bibliotece Herberta w Gorzowie.

CEL PODRÓŻY

Olga Smolec-Kmoch

Chrabąszcz z łoskotem zakończył swój owadzi los na szybie mojej srebrnej S-kłasy. Ciekawskie społeczeństwo często widząc mnie w tym aucie, zadaje sobie pytanie: „Skąd mam na to pieniądze? I to w tak młodym wieku!”. Jeśli ktoś odważy się zapytać twarzą w twarz – a niewielu takich, przyznać muszę – odpowiadam zgodnie z prawdą: „Z pracy. Ciężkiej, ale satysfakcjonującej”.

Wracam z objazdówki po szkołach językowych, których jestem właścicielką od wielu lat. *La vie est belle...* Jeżdżę tak kilka razy do roku. No dobra, co miesiąc. Trochę w myśl zasady, że „pańskie oko konia tuczy”, częściej dlatego, że lubię być w drodze. Ruch napędza mnie i nakręca. Stabilizacja zabija. Zabiła dawno temu. – Jasna cholera! – wykrzykuję całkiem kulturalnie, biorąc pod uwagę okoliczności.

Jeździłam starą skodą, stuknęło coś – wiedziałam, że trzeba się zatrzymać i zadzwonić do mechanika. W nowym aucie zapalają się dziwne kontrolki, których nie rozumiem, i pan Mietek też nie do końca, więc muszę się kontaktować z serwisem, w którym pracują samochodowi spece od zadań specjalnych. Wiem tyle, że jak wyświetla się coś innego niż uzupełnienie płynu do spryskiwaczy, to mam się zatrzymać, bo może być poważnie.

Zjeżdżam na pobocze. Do domu niecałe czterdzieści kilometrów. Już niemal czuję zapach mojej ulubionej kostarykańskiej kawy i ciepłotki puchatych kapci. Muszę zadzwonić do serwisu. Wsiadam z auta, w nerwach muszę pochodzić, choćby wokół auta. Stałam na jakimś pustkowiu. Sceneria jak w *Dzieciach kuku rydzy* Kinga, ale nikt mnie tu chyba nie zamorduje. A jakby chciał, to będę krzyczeć, że auto niesprawne, więc kraść się nie optaca. Najwyżej zaginę, poszukując...

Nagle podskakuję w przestraszu, słysząc za plecami:

– Kierowniczo, potrzebna pomoc?

Odwracam się z myślą, że jestem za młoda, by umierać. Trzymam jednak formę, choć brew drży mi śmiertelnym niepokojem.

– Nie-e-e, dzięki, chciałam odetchnąć świeżym powietrzem! – Jestem mistrzynią *small zmyślań*.

– A nie zepsuło się coś kierownicze w aucie? Wsiadła tak z niego w nerwach...

Rozglądam się dokładnie wokół. Ani duszy – ni żywej, ni martwej. Trudno. Cóż, młoda jestem, za wcześnie na odejście z tego świata, ale życie miałam dobre. Umrę chociaż spełniona zawodowo. I zamożna. Dwadzieścia siedem lat przeżyłam, nie jest najgorzej. Zwiedziłam kawał świata, spróbowałam wielu wybitnych przysmaków, przeczytałam wiele wartościowych książek, obejrzałam setki filmów z najlepszymi aktorami. Byłam sobie najlepszą przyjaciółką. Dobra, o czym ja myślę? To nie tani netflixowski horror. Elo, ogarnij się!



Foto: Marta Wrzask

– No coś się zepsuło – walę *va banque*, udając bohaterkę. – Ale za dużo tych kontrolek i nie wiem co. Zaraz zadzwonię do pana Mietka, on mi pomoże. – Kiwam głową, przekonana, że nieznajomy odpuści. W ogóle to skąd on się tu wzięł?

– Mogę zerknąć? – Z boku pada propozycja nie do odrzucenia.

Oglądam gościa dokładnie – nie jest okazem czystości ani świeżości. Moja kremowa tapicerka już płacze, słyszę ją. Wyciągam dyskretnie torebkę z auta, bo muszę szybko wziąć telefon, i mówię:

– No proszę, może pan coś zrozumie z tych kontrolek. – Próbuję się uśmiechnąć, ale wyglądam, jakby bolał mnie ząb. Wróć! Zęby. Wszystkie.

Wsiada do auta. Ja na telefonie wybrane mam już 112. W duchu dziękuję za pole obficie obsadzone dorodną kukurydzą. Mistrz Kingu, *I love you*. Już stawiam lewą nogę w kierunku...

– To tylko przepalona żarówka – mówi beztrosko mężczyzna i sięga do schowka. – Zaraz kierownicze wymienię i będzie mogła jechać dalej spokojna.

Po tych słowach wyciąga zapas żarówek i wymienia jedną. Zaglądam na deskę rozdzielczą, nic się nie świeci. Jestem pod wrażeniem, muszą to przyznać. W torebce znajduję portfel, wyciągam stówkę i wręczam wybawcy-domniemanemu-mordercy.

– Dz-dz-dziękuję za pomoc. Bardzo. Proszę przyjąć drobne podziękowanie – mówię zupełnie szczerze.

Mężczyzna spogląda na mnie wyraźnie oburzony. Za mało, myślę. Szlag! Sięgam do portfela, żeby coś mu dołożyć. W tej chwili nieznamy mówi:
 – A mogłaby mnie pani podwieźć do miasteczka? Nie mam dziś szczęścia do stopa, a chcę zdążyć na spotkanie z wnukiem.

Rzucam okiem na mojego współtowarzysza krótkiej podróży. Bezdomny w łachmanach ma wnuka, z którym się spotyka? Nie rozumiem. Ale mówię:
 – No pewnie, niech pan wsiada. – O matko, tapicerka do czyszczenia i porządne wietrzenie, myślę, ale zapraszam, przecież mi pomógł.

– Dziękuję. Większość kierowców jak mnie widzi, to udaje, że nagle straciło wzrok... Doceniam pani gest.

Wsiadamy do auta. „Doceniam pani gest”... Wyrzucam te słowa z głowy. To nie moja dobroć, zostałam postawiona pod ścianą. Nie lubię wyrzutów sumienia. Nie umiem odmawiać.

Jedziemy chwilę w zupełnej ciszy. Nic niepokojącego już się nie świeci, specje z serwisu nie zarobią.
 – Ładne auto – rzuca mój pasażer. – Zenek jestem – przedstawia mi się, na szczęście nie wyciągając do mnie dłoni.

Obrzucam go spojrzeniem pod tytułem „No fajnie, ale co mnie to!”, ale on tego chyba nie łapie. Na szczęście. Odpowiadam jednak z uśmiechem numer sto dwadzieścia jeden:
 – Eleonora – kiwam głową.

Widzę, że nie dowierza, ale kiwa głową w geście przyjęcia informacji i powitania.
 – Widziałem, jak się spojrzętaś, kiedy wspomniałem o wnuku. I wiem, jak mnie oceniasz. Zapewne ta ocena jest słuszna, bo wiem też, jak wyglądam. I tak, sam sobie jestem winien. Ale Grześ to moje światełko w tunelu.
 – Nie, nie – rzucam przeproszająco. – Nie chcę cię oceniać. Masz prawo żyć, jak chcesz, choć inaczej niż ja.

Jedziemy chwilę w ciszy, kiedy dobiega mnie głos:
 – Niezły przebieg na liczniku, a auto wygląda na nowe. Sporo jeździsz czy dzieliśz samochód z drugą potówką? – pyta z ciekawością.
 – Jeżdżę dużo. Praca tego ode mnie wymaga. Ale lubię być w drodze – odpowiadam zgodnie z prawdą.
 – Ja chciałbym w drodze tylko bywać, a niestety ciągle jestem. – W jego głosie daje się ewidentnie wyczuć... smutek? Zawiedzione nadzieje? Rozczarowanie?
 – Ale dlaczego? Podróżowanie jest fajne! Rozwijają, fajnie się spędza czas, nie ma nudy – ripostuję w zgodzie z tym, co myślę i jak żyję.
 – Nie każda droga to podróż. Podróż niesie w sobie obietnicę, dobre emocje,



Foto: Marta Wrzask

otwiera umysł i pozwala kolekcjonować wspomnienia. Podróż to życie. Droga to więzienie – padają stanowcze słowa.

– No co ty! Przecież to to samo – odpieram nieco butnie, pewna siebie i swoich przemyśleń.

– Ja od niemal dziesięciu lat jestem w drodze. I uwierz mi, nie jest to stan, do którego chce się dążyć. A przynajmniej nie świadomie. Od wielu lat mieszkam na ulicy. Droga stała się moim sposobem na życie. – Mój pasażer wyraźnie smutnieje. – Nie, nie narzekam na swój los. – Spogląda na mnie, bo czuje, że potrzebuję wyjaśnienia. – Po prostu mówię o faktach.

– Wiesz, wciąż nie mogę się z tobą zgodzić. Droga to zawsze krok naprzód, to rozwój i podążanie za czymś lepszym. – Jestem młodą bizneswoman, wiem więc, co mówię. – Droga to mój dom, tu czuję się najlepiej...

– A jesteś szczęśliwa? – pyta nazbyt bezpośrednio.

– No pewnie.

– A co ci daje szczęście? – drąży.

- Praca, rozwój, no nie będę ściemniać – pieniądze też – wyliczam niemal bez zastanowienia.
- A ty? – pada pytanie.
- Co: ja? – Czuję się lekko skonsternowana, więc tylko obrzucam go spojrzeniem przewracanych filmowo oczu.
- Jesteś dla siebie szczęściem?

Zabił mi ćwieka. Co to za pytanie? Ja mam być dla siebie szczęściem? Ja mogę sobie szczęście dać – nową filią firmy, wycieczką w ciepłe miejsca w środku polskiej zimy, kolejną parą szpilek czy stosem książek do czytania w jesienne wieczory. No ewentualnie czekoladą z orzechami popitą porto. Ale być szczęściem? I to jeszcze dla siebie? Co on bredzi?

- A byłeś kiedyś szczęściem dla kogoś?

Zjeżdżam na pobocze. Zatrzymuję się na brzegu kolejnego pola kukurydzy na obrzeżach miasteczka i bezgłośnie próbuję przetłknąć gulę emocji, która nie chce wydostać się z gardła i tkwi tam nieproszona jak ość, wbita w miękkie ściany przeżytku. Bez nadziei na jej wydostanie. Trafił w punkt, który chronię przed światem. W miękkie podbrzusze mojego jestestwa. We wszystkie wspomnienia, które uwierają jak pieprzony kamyk w bucie. W niemiłość, którą mnie obdarzano. W niewsparcie moich marzeń. W niewiarę we mnie i moje umiejętności.

Zaciskam dłonie na kierownicy, by nie dać popłynąć tżom. Nie wierzę, że ktoś potrafił zadać pytanie, które zburzyło mój mur spokoju, budowany skrupulatnie przez wiele lat.

- Ja byłem zawsze nieszczęściem dla innych. Byłem niemiłością, niewsparciem i niewiarą. Uciekłem przed odpowiedzialnością za wszystkie „nie”, których byłem przyczyną. I ruszyłem przed siebie. Bez celu, byle z dala od krzywd, które wyrządziłem. A tak naprawdę wciąż chyba uciekam przed tym, by za to nie odpowiadać i nie ponosić konsekwencji swoich wyborów. Chciałbym móc powiedzieć, że wyruszyłem w podróż mojego życia, ale to byłoby kłamstwo, bo moja droga wiedzie donikąd. – Kładzie swoją dłoń na mojej, wciąż zaciśniętej na kierownicy. – Dla jednych droga jest błogostawieństwem, dla innych przekleństwem. Zawsze jednak ucieczką przed sobą, jeśli jest celem sama w sobie. Jest dobra, jeśli dokądś prowadzi, wtedy może zamienić się we wspaniałą podróż. – Uśmiecha się do mnie nieznacznie. – Znajdź cel. – Mówiąc to, wysiada. – Dziękuję za wspólną podróż...

OLGA SMOLEC-KMOCH: rocznik '85. Od dawna pracująca słowem, od niedawna właścicielka Wydawnictwa Na Szczęście, od zawsze mól książkowy próbujący swoich sił pisarskich w krótkich formach. Członkini Nieformalnej Grupy Literackiej Płóczkowe Dziewczęta, z którymi wydała cztery tomiki opowiadań. Mieszkanka Gorzowa, szczerze dostrzegająca jego głęboko ukryte piękno.

NAUCZYCIEL

Joanna Ziemińska-Kurek

Nauczytel jęzka polskiego przygotowuje lekcje

Dedykacja:

Dla moich uczniów, by im lepiej wytłumaczyć

Motto:

z pierwszych rzeczy jakie pomniejszono
było słowo

ten wiersz piszę z małej litery
i bez wykrzykników

nawet papieża przestano całować
w zniszczony pantofel

coraz większe są już tylko rzeczy
na przykład wieżowce na Manhattanie
i lotnisko we Frankfurcie nad Menem



Foto: Marta Wrzask

Motywy:
 Życie
 Śmierć
 Ojczyzna
 Miłość
 Szczęście

Motyw pierwszy

Życie

1.

Unikałam wielkich słów
 tylko nie patos
 tylko blisko życia
 pamiętaj – przedmiot którego dotykasz
 mówi wszystko
 nie trzeba
 zwinąć się w skorupę ślimaka
 ugrzęźnij w sobie
 naciesz się skóra dotykana daje odpowiedź
 od razu chwytasz o co chodzi
 i jest dobrze bardzo dobrze

2.

Bankructwo wielkich słów
 kiedy to się stało
 w fabrycznej hali maszyna
 wystukiwała perkaliki grały
 harmonie pieniędzy
 pierwsze pociągi ruszały ku Przyszłości
 mężczyźni wskakiwali w krótkie spodenki do futbolu
 kobiety wyskakiwały z halek
 jaka przestrzeń zakrzyknęły rajskie dzieci
 rozbiegły się po ogrodzie
 pierwszy raz odbywał się
 z fanfarami eksplozji
 samoloty nadlatywały jak baletnice
 i miękko zataczały kręgi
 nad czerwonymi nagle kwiatami

Pochody miały dwa kolory: czarny i czerwony
pochody to kolumny ustawione horyzontalnie
(wielkie litery były – wertykalne – co to znaczy –
sprawdźcie w słowniku)

pochody to kolumny
po horyzont z lepszą przyszłością
dla wybranych
dla milionów – miliony
tylko dobrze się urodzić
tylko wyglądać jak należy
czystość

czysty
czyste
biel

pochody miały dwa kolory
a może tylko jeden
rozbity na frakcje
miliony miliony nas miliony
krople złane w jedno
jedna myśl jak młot
wykuwający
domy jak pudełka
pudła przeludnione
rojące się
pudła wzniesione

3.

Ile masz dłoni
ile weźmiesz w dłonie
po brzegi moment
albo
wody tyle by zanurzyć usta na pustyni

albo
rozłożysz dłoni i usiądzie motyl
a ty patrzysz i cuda cuda
jakich nie widziałeś

albo
to wszystko
albo nic z tego

bo pędzisz i to głupoty
a praca czeka

jaka praca więc relaks
i pomysły
od których głowa boli

4.

Kiedy wchodzisz na górę
bolą nogi bolą ramiona od dźwigania góry
oczy
oczy chcą się nacieszyć
czego z dołu nie widać
więc żeby się optać
wejść na
górnę

5.

Tego motywu nie ma
sprawdzam w słowniku
nie można zgapić
żeby rozwinąć temat
podręczniki dzielą wśos na czworo:
matka
ojciec
podróż
labirynt
a nauczyciel
pisze na tablicy „życie”
i bądź tu mądry
i pisz wiersze.

7 grudnia 2018

JOANNA ZIEMBIŃSKA-KUREK: doktor nauk humanistycznych, poetka, nauczycielka, regionalistka, członkini ZLP. Wydała kilka książek, m.in.: *Kobieta pisze wiersz* (1997), *Ślad na piasku* (2002), *Alchemia przestrzeni* (2004), *Odkrywanie miejsca – odkrywanie siebie, czyli banały i rewelacje* (2004), *Uroczysko* (2004), *Miejskie wiersze o przedmiotach* (2007). Od 2010 roku mieszka w stolicy Szwecji, gdzie uczy języka polskiego.

Zbigniew Witosławski

kosmogonia

na początku był
 przestwór bez wymiaru pulsujący fluktuacjami nicości
 z zapętlenia nie wiadomo czego powstała materia
 łączyła się dzieliła wstępowała w związki popętniała mezaliansie
 aż zrodziło się życie które w pokrętny sposób
 drobnymi kroczkami zyskało świadomość
 a napętniwszy próżnię próżnością samo siebie nazwało rozumnym
 dalszego ciągu należy się obawiać

BRZEGI KRAŃCE I GRANICE

wypatrując krańców czasu i brzegów przestrzeni
 przekraczając linie horyzontów
 odcinające przyczyny od czynów
 oddzielające zamysty od myśli
 odróżniające dzieje od nadziei
 nastuchując szeptów wabiących
 i podszeptów cynicznie życzliwych
 biegnąc usiłując dążąc
 mijam
 jaszczurkę pogrążoną w lenistwie słonecznej kąpieli
 jak w modlitwie niepotrzebującej ani słów ni myśli
 tylko trwania ufnego że słońce nie zgaśnie za chwilę
 a jeśli nawet
 to cóż

ZBIGNIEW WITOSŁAWSKI: urodził się w Łodzi, dorastał w Gdańsku, a niemal całe życie zawodowe związał z Gorzowem. Literat. Satyryk. Jego ulubionym gatunkiem jest vilanella. Laureat ponad 40 nagród i wyróżnień, m.in. II nagrody w II Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Jana Grossa.

Łucja Fice

Pod lampą przestrzeni przy bramie Andromedy
 Tłucze się pochód komórek donikąd
 Horyzonty kosmosu wydają dźwięki ziemskiego bólu
 Tam rodzą się myśli. Wzroku nie ma w czarnej dziurze
 A kwarki wciąż się dzielą
 W wymyślonych rękach wymyślona walizka. W niej gwiazdny pył
 W ławkach poczekalni cudnych myśli siedzę przeźroczyista
 Gram w szachy o ostatniego kwarka

ŁUCJA FICE: poetka, eseistka, pisarka. Autorka cyklu powieści emigracyjnych o opiekunkach i pielęgniarkach pracujących w Europie po 2004 roku (*Przeznaczenie; Wyspa starców; Za kryształowym lustrem*), oraz wspomnień *Druga strona grzechu* i trzech tomików poezji. Członkini ZLP i RSTK. Nagrodzona przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego medalem Zasłużony dla Kultury Polskiej. Uczestniczka programu „Emigrantki własnym głosem” na Festiwalu Emigracji w Gdyni. Laureatka konkursów ogólnopolskich.



Foto: Marta Wirzask

DROGA Z A DO R

Krystyna Dziewiałtowska-Gintowt

Czy zdarzyło się wam spędzić tydzień przy drodze? Nie na drodze, nie w drodze, ale właśnie przy?

Majeczkę nabyła Magda z dobrodziejstwem inwentarza, tj. kupując przed czterema laty dom w Sławęcinie, niedaleko Choszczna. Kotka miała wtedy trzy-cztery lata, kto by to na wsi dokładnie pamiętał.

Nie wiadomo, jak to się stało, ale bywałam w tym roku opiekunką zwierząt, gdy ich właściciele opuszczali na jakiś czas swoje wiejskie domostwa. Nie mogłam więc odmówić Madzi, gdy postanowiła wybrać się z całotygodniową wizytą do narzeczonego. Ja, Majka, ogród w pełni rozkwitu: wiśnie, maliny, czarna porzeczka i przepiękny egzemplarz jarmużu – nigdy jeszcze takiego nie widziałam.

Droga Sławęcina – Radaczewo ma może ze 4 km. Posesja Magdy leży poza wsią. Od drogi do ogrodzenia jakieś 36 metrów, a do werandy, która stała się na pewien czas centrum mojego wszechświata, było tych metrów jeszcze dodatkowe 30. Poza bramą chwasty niekoszone, wąska dróżka na wyjazd samochodu i tylko na jej szerokość kontakt wzrokowy z drogą, słuchowy trochę dłuższy, ale bez przesady. Widok na spokojny wiejski krajobraz: zieleń kukurydzy, żółto-brunatna ochra zboża, na horyzoncie sosnowy las.

Weranda chroni przed upałem, przyjemny wiaterek, świeży kompocik, ciekawa książka, pełna miska i wiaderko z wodą dla kotki, czegoż jeszcze potrzeba?

W miarę jak mija upał i płyną kolejne dni pobytu, zmniejsza się dystans między mną a kotką, chociaż trudno mówić o wylewności. Trafiły na siebie dwie introwertyczki.

Z czasem na werandzie robi się coraz tłoczniej.

Czytam książkę Bernadetty von Dreien „Christina – Bliźniaczki urodzone jako światło”. Christina od urodzenia jest świadomie połączona ze sferami wyższych wymiarów i cywilizacjami światła. Matka dziewczynki opowiada historię jej wyjątkowych narodzin, dzieciństwa i młodości. Książka bardzo intrygująca, ale czytanie wymaga przerwanych.

Zapraszamy więc do towarzystwa laleczkę dziewiarską o uśmiechniętej twarzy. Cztery wypustki, przez które przewleka się kolejne oczka nitki tworzącej sznureczek, układają się w koronę. Dlatego nazywam ją królową śmieszka.

I tak mijają minuty, godziny, dni. Czas odmierzają przejeżdżające drogą Sławęcina – Radaczewo pojazdy. Nie jest ich dużo, ale stanowią istotne osobliwości na osi zdarzeń. Powoli rozróżniam kolory, gabaryty. Czasem przejeżdża kurier, śmieciarz, szambowóz, jakieś maszyny rolnicze. Dłuższym towarzystwem zaszczyca nas opryskiwacz do kukurydzy.

Jeszcze cztery samochody: przerywam czytanie, zaczynam dzierganie. Jeszcze pięć: idę ugotować kompot, po dziesięciu zbieram wiśnie na wyścigi z chmurą szpaków. Mamy dwa układy obserwacyjne: ja z werandy, Maja ułożyła się przy bramie wjazdowej. Przejazdy zdają się mieć, ze względu na ich niewielką ilość oraz wyraźne oddzielenie, naturę kwantową. Czy gdyby nie było obserwatorek, sytuacja wyglądałaby tak samo? Konsultuję to z kotką. Powinna mieć doświadczenie w tej sprawie, albo niech się skontaktuje z kotem Schrodingera.

Dla wzbogacenia doświadczenia jednego dnia wybieram się do centrum Sławęcina, drugiego do sklepu w Radaczewie po stoiki. Nadal nie jestem pewna wyników kwantowości, ale spotykam na drodze i po drodze kilka bardzo życzliwych osób, a także poznaję okolicę. Więc warto.

Po tygodniu przyjeżdża Magda. Zmęczona i szczęśliwa. Jej obecność odwraca uwagę od sytuacji na drodze. Odmierzanie czasu wraca do zegarka, a mnie czeka powrót do miasta.



Foto: Marta Wrzask

KRYSZYNA DZIEWIAŁTOWSKA-GINTOWT: emerytka, z wykształcenia fizyczka ze skłonnościami do filozofowania. Przez przyjaciół nazywana Dziwonią. Pasjami tka gobeliny, jako materiał wykorzystując rośliny z pól i ogrodów, gdyż Życie to misterny gobelin. Trzeba je tkać z miłością, nie zmarnować żadnego splotu z arcydzieła na zamówienie Boga. Píše wiersze, a w zasadzie podpisuje nimi swoje prace plastyczne. W 2017 r. w ramach Biblioteki Pegaza Lubuskiego wydany został jej tomik *Słowa podzielone między wiersze i obrazy*.

DROGA

Agata Wolska

Droga do pracy

Wyszłam punktualnie.

Ranek był rzeński, na rzece odpyw.

Muł błyszczął, oświetlony przez światło brzasku. Słońce jeszcze nie weszło nad góry.

Samochód zatrzymał się na poboczu. Kobieta wysiadła z promiennym uśmiechem na twarzy, trzasnęła drzwiami i pomachała kierowcy. Jej włosy rozwiewał wiatr, była lekka, promieniata.

Poprzedniej nocy mieli doskonały seks.

Całe jej ciało o tym mówiło.

Patrzyła na koryto rzeki, śmiała się, robiła sobie zdjęcia.

Na koniec o mało nie wpadła pod samochód, który z czułym uśmiechem poklepała po masce, kolejnym powalającym uśmiechem uspokajając wściekłego kierowcę.

Nie ma innego ciała, jest to jedno jedyne twoje, moje, nasze, stworzone do miłości i przyjemności, bólu.

Mapę masz w ciele, i choć w internetach, galeriach sztuki, gazetach będą ci mówili o twojej techtaczce, orgazmie, punkcie G czy suchości pochwy, to drogę przejdiesz sama, wiedziona ciekawością, wstydem, strachem, pożądaniem, suczą chucią, potrzebą bliskości drugiego ciała, zabawy, a może nawet nadzieją.

Droga do Matki

Wczoraj odeszła Sinéad O'Connor, Universal Mother.

Jej album „Universal Mother” był moją pierwszą skórą, która wpływała przez uszy i rozlewała się niczym brąz w formie odlewniczej pod moją własną skórą.

Głos Sinéad wraz z muzyką płonął, ogrzewał, krzyczał, szeptał i głąskał moje niespokojne serce nastolatki, podczas gdy z drugiej strony skóry przetaczały się bardzo kontrastowe czarno-białe obrazy opuszczonych fabryk kończącego się PRL, chaotyczne bazyry Nowej Huty i mój rodzinny czarno-biały dom, wytapetowany wykrzywioną w bólu i furii twarzą Matki.

Mapa biegunów

Chorym na chorobę dwubiegunową jest STRASZNI!

Bliskim chorych na chorobę dwubiegunową jest STRASZNI!

Myślę o Sinéad w jej chorobie i o jej dzieciach.

O tym, ile ścieżek przetarta, śpiewając w 1994 roku o „uzdrowieniu” (tekst „Famine”).

And if there ever is gonna be healing/	I jeśli kiedykolwiek będzie uzdrowienie
There has to be remembering/	Musi być pamiętanie
And then grieving/	A potem żałoba
So that there then can be forgiving /	Aby potem można było wybaczyć
There has to be knowledge and understanding/	Musi być wiedza i zrozumienie

O tym, jakie drzwi wyważyła, drąc portret Jana Pawła II, ilu głosom dała głos.

30 lat później nasza superrozwinęta cywilizacja północnej hemisfery przeżywa boom rozpisywania się o traumach wcześniejszych pokoleń, chodzi na terapie, a 10-letnie dzieci odmieniają słowo „trauma” przez wszystkie przypadki, strasząc rodziców nieodwracalnymi problemami w przypadku niekupienia syreniej płetwy. Sinéad: odważna, charyzmatyczna, o niebiańskim głosie, zjawiskowo piękna, inteligentna, poraniona i chora.

Chora nie tylko na depresję, o której rozpisują się media, chora też na manię, o której trudniej pisać i nazwać.

Wspaniale patrzy się na postaci nieprzeciętne! One dają siłę!

My z daleka widzimy urywki: Sinéad, nowe odkrycie sceny muzycznej; Sinéad odmawia przyjęcia Grammy; Sinéad drze zdjęcie papieża; Sinéad wycofuje się z życia publicznego; Sinéad chora na CHAD; Sinéad w szpitalu; Sinéad przechodzi na islam; Sinéad pozbawiona prawa opieki nad dziećmi; Sinéad zrozpaczona po śmierci syna...

Bliscy, szczególnie dzieci, widzą całość codziennie. Przeżywają całość codziennie. Dziecko czasem kilkanaście razy dziennie słyszy, jak matka krzyczy, że zaraz się zabije, i te kilkanaście razy dziennie spina się wewnętrznie, by matkę ratować, rozśmieszyć, utulić, zaopiekować, wszystko, by już tylko się uspokoiła, by była, by nie odeszła. Dziecko ratuje matkę. Dziecko kocha matkę taką, jaka jest.

Dziecko widzi matkę, która chce zbawić świat, przebojową, matkę, która ma misję i której w tej misji absolutnie nie można przeszkadzać. Gdy matka ma misję, trzeba ją ze wszystkich sił wesprzeć, siedzieć cicho, nie chcieć nic, ze wszystkich sił pomagać, bo MATKA JEST NAJWAŻNIEJSZA!

Dziecko jest zorientowane na MATKĘ.

Matka w manii rzadko kiedy jest zorientowana na dziecko.

Dziecko kocha matkę, wstydzi się matki, nienawidzi matki i wciąż kocha matkę taką, jaka jest.

Matka w depresji zazwyczaj zaczyna zauważać swoje dziecko i krzywdy, jakie mu wyrządziła, nie zauważając go i jeszcze bardziej cierpi z powodów poczucia winy.

Choroba dwubiegunowa to jest BAL PRZEBIERAŃCÓW W CIEMNYM LABIRYNCIE.

Nigdy nie wiesz, jaką twarz spotkasz za rogiem, nie wiesz, która z nich zatańczy i jak; czy poprowadzi cię miękko w tańcu, czy rzuci o ścianę, czy wyzna miłość,

czy zapragnie wyskoczyć pod pędzący pociąg, czy rozplynie się w powietrzu, zostawiając w ciemności. Wyjść z labiryntu pomagają: farmakoterapia, psychoterapia i życzliwi ludzie wkoło.

Nie ma winnych, są ofiary, a jeśli potrzebujecie winnego, to winna jest wróżka Chujużka, która mąci umysł. Chory i bliscy są bez winy. Są marionetkami w „rękach” reakcji biochemicznych, które zachodzą w mózgu..

Trzydzieści lat później rozumiem mechanizm choroby mojej Matki.

Trzydzieści lat później wciąż mam bolesne wspomnienia opieki nad nią, poczucia niesprawiedliwości za jej niestabilność, nieobecność, porzucanie, furie i nieudolności. Trzydzieści lat później wspominam Jej niebywałą wrażliwość na krzywdę innych oraz brawurowy styl, jaki reprezentowała w swoich jeszcze niepsychotycznych maniach. Niezaprzeczalny wspaniały i silny wzór.



Foto: Marta Wrzask

Trzydzieści lat później wciąż nie wiem, czy jestem wynikiem patrzenia na tę brawurę, czy bycia porzuconą i postawioną przed faktem obowiązkowej opieki nad nieudolną matką. Pewnie jedno i drugie.

Trzydzieści lat później nie wstydzę się mojej chorej Matki, ani bycia Dzieckiem chorej Matki.

Trzydzieści lat później Sinéad O'Connor odchodzi do swojego syna, największej miłości swojego życia, jedynej osoby, która kochała Ją bezwarunkowo, jak napisała na Twitterze w swoim ostatnim wpisie.

Universal Mother i Universal Child.

Na dwubiegunowej mapie granice się zacierają.

Droga do SIEBIE

Ciało jest graniczne, czuje, nie kłamie. Żąda odpoczynku, rozkoszy z drugim ciałem, jedzenia, kremu do dłoni i wody do picia. Włosy chcą być miękkie, a skóra na głowie nawilżona.

Droga zapisuje się na skórze.

Kobietom po porodach zmienia się twarz, niektórym mężczyznom też.

Gabinety chirurgii plastycznej pomagają w wymazywaniu zapisu.

Może niedługo jakieś inne gabinety zaoferują usługę wysysania traumatycznych wspomnień. Równolegle, w zamian, jak botoks będą wlewać w nasze mózgi emocjonalne różowy płyn, regenerujący system, programujący nam „nowe ustawienia”. Płyn wypełni te wszystkie pustki zwane przez terapeutów deficytami, jak skierowana woda z rzeki wypełnia nieużywane kopalnie.

Ciało będzie królować nad umysłem, miłość nie będzie już straszna, a wkoło zapanuje niekończąca się wiosna.

Tylko pozwólmy ciału umierać! Rozkładać się! Przeobrażać!

Dobrze, że już sobie poszłaś stąd, Sinéad. Cierpienie powinno mieć kres. Bycie decyzyjnym to dobra cecha. Nic na siłę.

AGATA WOLSKA: artystka multimedialna, która na razie chce pozostać anonimowa.

IDĘ

Jacek Lauda

Szedłem drogą już jakiś czas. Nie pamiętałem, gdzie się zaczęła, a i pamięć mijanych krajobrazów, spotkań, zdarzeń podczas wędrówki przywoływała jedynie nieliczne i zamazane obrazy, strzępy słów, dźwięków, skrawki twarzy.

Szedłem drogą, zrazu lekko, z niecierpliwością odkrywcy, czasem tylko potykając się o nierówności, kamień leżący na ścieżce obojętnie, bez żadnej intencji, o korzeń drzewa, który daleko odszedł od pnia i już pozostał znieruchomiaty, zapominając drogi powrotnej. A czasem droga, jakby niechętna wędrowcowi, nużyła albo tuman niepokoju wzbijała niczym pył piasku spod stóp.

Droga kluczyła w meandrach ospale albo biegła chyżo, prosto jak promień lipcowego słońca. Czasem deszcze trakt rozmywały, grząskim czyniły i wędrówka stawiała się mozołem, sens jej podkopując.

Szedłem drogą, pejzaże i pory roku zmieniały się niepostrzeżenie. Na drodze zjawiali się inni wędrowcy. Niekiedy tylko na chwilę, przechodząc w milczeniu, ledwie na oczu spotkanie. A czasem ten sam kierunek obierając, towarzyszyli mi w drodze niestrudzenie, słowem się dzieląc, wspierając ramieniem, jeśli taka była potrzeba. Potem droga stawiała na rozwidleniu i towarzysz wędrówki za własnym znikał horyzontem.

Idę drogą. Za mną już niezliczone krajobrazy, mrowia ludzkie jak stada przelatujących ptaków. Towarzysze drogi w gęstniejących, coraz odleglejszych mgławicach przeszłości. A droga rozwidla się bez końca, tysiącem nieodgadnionych widoków, pokus, tajemnic, obietnic. I zawsze tylko jedna ścieżka możliwa, choć kroczyć może lepiej byłoby inną.

Idę drogą. Przydrożna tablica oznajmia: *Koniec drogi za...* i jakaś liczba nieczytelna. Idę dalej. Dopóki drogi, idę.

JACEK LAUDA: pisarz, malarz, pracownik wydawnictwa Akademii im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie. Zadebiutował humoreskami i ilustracjami w 2002 roku w „Arsenale Gorzowskim”. Wydał trzy książki: *Mól* (2002), *Drabina, czyli wejście nieprawomyślne* (2003) oraz *Eskimos w operze, opowiadania na orkiestrę, chór i kanarka* (2013).

Specjalizuje się w malarstwie olejnym, rysuje też pastelami i piórkiem. Miał kilka wystaw indywidualnych.

TRYPTYK ROKITNIAŃSKI

Z. Marek Piechocki

Rokitno, Dom Seniora „Pogodna Jesień”, marzec/kwiecień 2017

Na tamtą stronę

Odbynam podróże. Rozstrojone pianino *Białoruś*.

Uszy i oczy za moimi plecami.

Przedemną ściana. Z prawej paprotka.

Molowa tonacja. Pianissimo. Bez pedału. Napięcie przy przetworzeniach.

Budowanie przestrzeni pauzami.

Sądzą, że to już koniec. Nieśmiało brawa.

Pan na wózku. Stara się coś powiedzieć.

Domyślam się – grał na pianinie.

Mówię – może pan spróbować lewą ręką. Odstępuję miejsce.

Zawstydzony odjeżdża.

Później mówią mi opiekunki – *miat tzy*.

Pani z chodzikiem – *potrafi pan mały biały domek?* Przywołuję z pamięci.

Dość nieudolnie. W końcu – Pani śpiewa ładnym głosem – udaje się nam kilkoma zwrotkami zdobyć aplauz pensjonariuszy.

Podjeżdża Mama – *nie graj tyle, bo się zmęczysz*. Mówię, że nie. Że nie ma się martwić.

Foto: Marta Wrzask





Foto: Marta Wrzask

Ogórkowa

Stołówka. Obiad o trzynastej.
Panie krzątają się. Zapachy.

Kilka minut po Aniot Pański.

Niektórzy już przychodzą. Siadają.
Zakładają śliniaki. Czekają. Milczą.

Jadalnia zapełnia się. Samodzielni,
wózkowi. Opiekunki.

Siedzę naprzeciw Pani Marylki. Przynoszą zupę. *Dziękuję, nie będę jadła – i do mnie – bo wie pan, po wylewie zmienił mi się smak – nie mogę nic kwaśnego. A przedtem lubiłam, gotowałam.*

Czeka na drugie danie.

Karmieni. Zmiksowana zupa, poduszane ziemniaki.

Proszalnie: *Pani Stasiu, jeszcze tylko jedna tyżka.*

Brawo! Pani Pola zjadła wszystko!

Codziennosc bez medali. Za cierpliwosc.

Widok z pałacowego tarasu

Po prawej pola.

Zboże jeszcze zielone

ktoś się

Po lewej las

Wąska, lokalna szosa

Za kilka kilometrów jezioro dzieciństwa

z czystą, jak kryształ wodą

Nurkowaliśmy bez masek

otwarte oczy widziały niewielkie okonki

Powyżej jeziora niewielki pałac

Na tarasie kawiarnia

Dla ciebie zamawiam deser, sobie lody

Zostawiona mrużysz oczy, zastaniasz je dłonią

patrząc jak schodzę ku wodzie

Tablice ostrzegają: *Kąpiel wzbroniona.*

Woda zatruta pestycydami.

Wracam.

Już tutaj nie przyjedziemy, Mamo.

Z. MAREK PIECHOCKI: poeta i prozaik. Propagator muzyki klasycznej. Laureat Nagrody im. Janusza Słowika (2007) i Motyla - Nagrody Kulturalnej Prezydenta Gorzowa Wielkopolskiego (2012).

W 1998 roku wydał pierwszy tomik wierszy *Zaistniałem*, a jego *Sytuacje* (2009) były nominowane do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. W 2010 ukazały się *Listy hipotetyczne*.

Miłośnik i znawca muzyki klasycznej i fortepianowej. W 2012 roku odczytał i wydał częściowo zniszczone rękopisy wierszy żydowskiej poetki Melanii Fogelbaum, znalezione po wojnie w łódzkim getcie *Drzwi otwarte na nicość*. Rok później ukazał się zbiór próz poetyckich *Powrót Melanii Fogelbaum*. W 2017 roku wydał tomik wierszy *Przedstawienia. Członek ZLP*.

Jerzy Hajduga

Listy wracają

Gdy się ostajemy, już nie na ten adres listy wracają... Po czasie i ty odkrywasz w szufladzie, również z niedowierzaniem...

Żywe słowa

wystałaś w koperce
jeszcze zdążyłem
uratować

Listowna liryka

w kopertach
przetrzymuję
lirykę

co jakiś czas
wysyłam do
siebie

Wyciągnij mnie

a nie mówiłam
że wrócisz
wracam

noce
dniami

wyciągam
sen



Foto: Marta Wrzask

JERZY HAJDUGA: poeta, publicysta. Ksiądz katolicki. Wiersze publikował między innymi w „Tygodniku Kulturalnym”, „Poezji”, „Literaturze”, „Więzi” i „Frazie”. Wydał ponad 20 tomików poetyckich; najnowsze to: *Odpocząć od cudu* (2015), *Współbrzmienie* (2016), *Jeszcze* (2018), *Zatrzymać z czasu chwile* (2018), *Listy na stół* (2019), *Uważaj na siebie* (2020) oraz *Zostań i takie twoje odchodzenie* (2022). Jest autorem scenariusza spektaklu poetyckiego „Ten pusty krzyż” wystawionego w olsztyńskim Teatrze im. Stefana Jaracza (1991). Prowadzi blog JerzyHajduga.pl.

HISTORIA ZATACZA KOŁO

Adam Korzeniowski

Dzisiaj jest pierwszy września przyjechałem z Polski
 Historia zatacza niewidzialne koło
 Rainer siedzi nagi spoglądam na niego
 I widzę chorego starca który patrzy bezradnie
 W trzydziestym dziewiątym lat miał może dziesięć
 Ale nie ma to dla mnie większego znaczenia
 Teraz jestem w Niemczech i sprawa jest prosta
 Mówię Hände hoch Wolfgang no dalej wyżej rączki
 Stoimy na dwóch końcach odległych biegunów
 Między nami wznoszą się opary lepkiej krwi
 Był dzieckiem Hitlerjugend tak jak pozostali
 I dobrze pamięta jeszcze jak w noc kryształową
 Ukradł Leicę z witryny żydowskiego sklepu
 Powiedział mi o tym jakby chciał tam wrócić
 I oddać skradziony aparat
 Ale nie ma już sklepu właściciel nie żyje
 Zostały krzywdy których nie da się naprawić
 Mówię wyżej rączki
 Z prysznicą płynie woda a nie cyklon z puszki
 To spora różnica
 Mówię Hände hoch Wolfgang
 Myję go dokładnie
 Myję go i wycieram tak, jakbym mył siebie
 Albo moją mamę lub mojego ojca
 Mówię ok opuścić ręce
 Jest bardzo zmęczony nisko spuścić głowę
 Szepce Danke Adam
 Rzeka krwi wolno znika w odpływie prysznicą
 Szybko go ubieram by się nie przeziębił
 I wiozę do kuchni żeby zjadł śniadanie
 Zanim historia znowu zatoczy swe koło

ADAM KORZENIOWSKI: urodzony we Wrocławiu, od 1990 roku zamieszkuje w Gościmiu. Absolwent Akademii Rolniczej we Wrocławiu wydział melioracji wodnych oraz Uniwersytetu Wrocławskiego na kierunku filozofia. Autor czterech tomików wierszy i kilku wystaw fotografii. W wolnych chwilach wędrowiec, podróżnik, a w zasadzie pielgrzym.

SPOD RZĘS

Hanna Bilińska-Stecyszyn

– Skręcam tu do bazy. Chyba że macie ochotę podjechać tam ze mną – powiedział kierowca stara chwilę przedtem, nim wysiadłyśmy. Przejechałyśmy z nim spory kawał – gdy już zaczęłyśmy się rozglądać za miejscem na nocleg, sam się zatrzymał i zgarnął nas z szosy. Wydawał się miłym, na oko czterdziestoletnim mężczyzną, nawet dość przystojnym. Teraz, w pierwszych szarościach kończącej się nocy i mdłym oświetleniu kabiny, widziałam jego krzywy uśmiech w nieogolonej, zmiętej twarzy. – Zrobimy sobie jakieś miłe śniadanko, co wy na to? – dorzucił.

– Jeść mi się chce, więc może... – zaczęła Gośka, lecz Irena nie dała jej dokończyć i gwałtownie wypchnęła z auta, wyrzucając na asfalt nasze plecaki.

– Niech pan sobie w dupę wsadzi swoje śniadanko! – wystawiła język w stronę kierowcy.

– Głupie cipy – warknęła i z hukiem zatrzaskała drzwi szoferki.

Podniosłyśmy plecaki. Irena pogrzebała w swoim i podała Goście mocno wymiętoszoną papierową torebkę.

– Masz. Bułka z wczoraj. Zostaw kawałek Majce, bo pewnie też głodna.

– Co jest? Irka, coś taka wściekła? – Gośka odgryzła spory kawał bułki i podała mi resztę.

– Spałyście jak zabite, to nie wiecie. Przez całą drogę łąpał mnie za kolano, próbował podszczypywać, już nie wiedziałam, jak się bronić. Cap jeden. Naprawdę się bałam, dobrze, że musiał pilnować kierownicy.

– A to cham. – Gośka spojrzała z obrzydzeniem za oddalającą się ciężarówką. – Trzeba było nas obudzić – przeciągnęła się i wyjętym z kieszeni grzebieniem przecesała swoje długie, jasne włosy. – Już mi się chce do cywilizacji – westchnęła. – Dziewczyny, to co robimy? Nie będziemy przecież tak tu sterczeć. Zimno, trzeba się ruszać. Jakiś truchcik by się przydał – podskoczyła kilka razy dla rozgrzewki.

– A gdzie my właściwie jesteśmy? – zaczęłam się zastanawiać.

– O, uwaga, uśmiech na twarz! – Gośka zaprzestała swoich ćwiczeń, bo zza zakrętu wyłonił się żuk z ciemną plandeką. Wszystkie trzy zaczęłyśmy na niego wymachiwać, lecz mimo naszej rozpaczliwej ekwilibrystyki nie zatrzymał się.

– Niech się wypcha – Irena machnęła ręką. – Tam, kawałek dalej, jest drogowskaz, widzicie? Chodźcie, sprawdzimy.

Dziarskim krokiem ruszyła w kierunku zielonej tablicy. My za nią.

★

„Mączkowo 4”, dostrzegłam, nim jeszcze Irena otworzyła usta i wymówiła to głośno. Poczułam gwałtowny łomot serca.

– O matko, jakiś koniec świata, nic tu po nas – jęknęłam dla zmyłki, bo wystraszyłam się, że Irena usłyszy to łomotanie i odczyta moje myśli.

– Do domu i tak chyba mamy stąd kawał drogi, pewnie uda się dojechać dopiero na wieczór albo jutro. Trzeba sprawdzić – oznajmiła.

Przystanąłyśmy. Po chwili uniosła głowę znad rozłożonej mapy. Ja nie musiałam patrzeć. Wiedziałam, gdzie jesteście.

– Faktycznie – powiedziała. – Nie damy rady dziś wrócić. Chyba żeby się trafił jakiś dobry kurs. Byle nie ze świńskim kierowcą! – skrzywiła się.

– Mam nadzieję, że w biały dzień nie grożą nam takie atrakcje – mruknęłam. Serce, zwinięte teraz w twardą grudę, coraz mocniej cisnęło mnie w gardło.

– Mączkowo? Zaraz, zaraz, widać tam jakąś wodę? Czekać, niech zobaczą. – Do mapy zajrzała również Gośka. – Ale numer! – ucieszyła się. – To nad tym jeziorem, gdzie mój brat jest na obozie żeglarskim. Harcerskim właściwie, ale zdobywają patent sternika. Może jakoś się tam dowlecemy, to przy okazji odwiedzę młodogę.

– Harcerskim? A, niech będzie i harcerski. – Irena z rezygnacją wzruszyła ramionami. – Mam nadzieję, że nas tam gdzieś przekimają, już ledwo na oczy patrzę. – Poprawiła zsuwające się z ramion paski plecaka i ruszyła naprzód.

Dobry kwadrans szłyśmy poboczem szosy, prawie się nie odzywając. Co najwyżej ziewając głośno. Zza zakrętu w pewnej chwili wyłoniła się rozklekotana syrenka. Kierowca zwolnił, jakby chciał się nam przyjrzeć.

– Może zawróci i nas podrzuci. – Gośka wyszła niemal na środek jezdni. Lecz facetowi chyba nie spodobał się jej uśmiech, bo ominął ją szerokim łukiem i dał gazu.

*

Zaczęło się rozwidniać na dobre. Znad pól uniosła się poranna mgła, gdy dowlekłyśmy się wreszcie. Dziesięć domów na krzyż z ujadającymi psami w obejściach i wyboiste wertepy między nimi. Jakby budowniczości chcieli zaoszczędzić na asfalcie, który tuż za tablicą z nazwą wsi urywał się niczym ucięty nożem. Rzeczywiście koniec świata. Miałyśmy wrażenie, że jedyne żywe istoty w całym Mączkowie to te psy na łańcuchach.

Na skraju wioski, wśród gęstych bzów i leszczyn, garbiła się stara kapliczka. U jej stóp ktoś postawił butelkę po mleku z kilkoma ogrodowymi goździkami. Kawatek dalej całkiem już piaszczysta, polna droga wiodła w kierunku lasu.

– To pewnie tam – Irena wyraziła nadzieję, że po tych piachach dotrzemy wreszcie do celu.

Czerwona, a potem z każdą sekundą jaśniejsza kula słońca, coraz wyżej wznosząca się ponad linię horyzontu, zapowiadała kolejny upalny dzień. Kropelki rosy skrzyły się tęczowo, jakby ktoś wokół nas porozrzucił garść diamentów.

Ale przez tę kluchę w gardle, chyba po raz pierwszy w życiu, czar wczesnego poranka był mi zupełnie obojętny.

Wędrowaliśmy wśród wysokich łąnów dojrzałego zysa, ślady opon, odbite w piachu drogi, podpowiadały, że zmierzamy we właściwą stronę. Mimo zmęczenia zasuwaaliśmy niemal galopem, marząc o tym, by wreszcie znaleźć się nad wodą.

To znaczy one tak galopowały. Mnie śpieszyło się coraz mniej. Gdy w końcu zza drzew wyłoniło się jezioro, a wśród sosen dojrzałam zielone namioty, nogi zaczęły mi ciężać, jakby każda z nich ważyła tonę.

*

Nazwa nieznannej dotąd wsi od razu wbiła mi się w pamięć, gdy jeszcze przed wyruszeniem na autostop dowiedziałam się przypadkiem, że na obozie w Mączkowie będzie Arek. Tak, wyjeżdżając zapowiadał, że latem odwiedzi stare kąty i wraz z dawnym towarzystwem gdzieś nad jeziorem chcą zorganizować takie szkolenie. Ale przecież różne rzeczy mówił, a ja przysięgłam sobie, że już więcej nie dam się nabrać na puste obietnice.

I oto przypadek przywiódł mnie właśnie tu. Powinnam być szczęśliwa, lecz na samą myśl o spotkaniu robiło mi się słabo. Im bardziej zbliżyliśmy się do obozu, tym mocniej się bałam.

– Dziewczyny, już nie mam siły – próbowałam opóźnić dotarcie na miejsce. – Walnę się gdzieś tu z kocem i trochę prześpię.

– Zgłupiałaś? Tak blisko celu i w tej mokrej trawie? Nie marudź – Gośka grzmotnęła mnie w ramię. – Jazda.

Zacęłam się modlić w duchu, by wieść o przyjeździe Arka okazała się plotką. Kiedy dotarliśmy do bramy ośrodka, dziewczyny pełniące akurat wartę, zapytane o skład obozowej kadry, pozbawiły mnie złudzeń.

Był na obozie! Był. Mimo wszystko poczułam, jak mój strach podkulił ogon, a głupie serce wpada w jakieś *tańczymy labado, labado, matego walczyka*... Jakby samo już nie wiedziało, czy bardziej się bać, czy cieszyć.

– Możecie się przespać u nas – zaproponowała jedna z wartowniczek. – Przyjdziemy dopiero po śniadaniu, o dziewiątej.

Wskazała nam namiot. Zawinięte w koce, z plecakami pod głową, zasnęłyśmy natychmiast. Nawet ja. Zmęczenie okazało się najlepszym remedium.

*

Słońce stało już wysoko, kiedy po kilku godzinach otworzyłam oczy. Moich towarzyszek nie było w namiocie, obudziły mnie poznane nad ranem wartowniczkę. Przyniosły dwie drożdżówki i wielki kubek herbaty.

Foto: Marta Wrzask



– Spałaś tak mocno, że twoje kumpele nie chciały cię budzić. Powiedziały, żeby ci przekazać, że idą odwiedzić brata i wrócą za chwilę. Masz tu śniadanie, a kubek zostaw koło namiotu. My musimy już biec na zajęcia.

– Dziękuję, jesteście kochane. Zjem później, najpierw chciałabym się ochłapać. Gdzie tu jest umywalnia? A najchętniej to od razu wskoczyłabym do jeziora.

– Idź, rano jest cudowna woda, my też zaraz będziemy pływać. – Pokazały mi, jak trafić, zabrały z namiotu swoje ręczniki i poleciały.

Lecz ledwo zrobiłam krok, na dość odległym wzniesieniu wśród drzew spostrzegłam Arka. Wyraźnie zmierzał w moją stronę, choć chyba jeszcze mnie nie zauważył.

Uciekłam do namiotu.

– Cześć, Majka, autostopowiczko! – usłyszałam po minucie jego głos. – Hej, jesteś tam? Chyba nie zamierzasz dłużej spać?

Nie było sensu się ukrywać. Przygłodziłam dłońią rozczochrane włosy. Podciągnęłam sweter szczelniej pod szyję, żeby nie pokazać, jak wali mi serce.

Stał blisko wejścia, niedbale oparty o pień sosny. Miał na sobie niebieski podkoszulek i na nim rozpiętą bluzę w beżowo-granatowe paski.

Ta sama, którą miał tamtego wieczoru, gdy razem poszliśmy do kina, a potem całował mnie w parku...

Podeszłam i podałam mu rękę.

– Cześć – miałam nadzieję, że zabrzmiało to naturalnie, choć trzęsy mi się kolana.

– Spotkałem Irkę i Gosię, powiedziały mi, że tu jesteś – wyjaśnił. Przymrużył oczy, jakby raziło go słońce, choć przez splątane arabeski zieleni przeciskały się ledwie pojedyncze promyki.

Chce mi się lepiej przyjrzeć? Czy coś dać do zrozumienia? Chyba nie założył tej bluzy specjalnie? Niemożliwe!

– Wracacie z autostopu?

– Tak.

– Jak było? Udało się?

– Tak.

– Coś taka lakoniczna? – Ale nim zdążyłam odpowiedzieć, uśmiechnął się i dodał: – Jak ci ładnie z tym rumieńcem, Majeczko.

Zawsze potrafił powiedzieć coś takiego, co wpędzało mnie w zamęt. I nie tylko powiedzieć.

Jego usta na mojej skórze...

Odgoniłam wspomnienie.

– To od snu – czułam, jak rumieniec, już bynajmniej nie od spania, wędruje aż na czoło.

– Dobrze ci zrobił ten autostop, jak widać – ciągnął.

Spokojnie! Spokojnie, nie daj się wziąć na ten lep.

– Tak? Dzięki – już trochę ochłonęłam. – A co u ciebie?

– Miasto brzydkie, ludzie jak wszędzie. Dopiero się przyzwyczajam. Dlatego tak się cieszę z tego obozu. To teraz moja jedyna więź z dawnymi czasami. Z wami.

Nie powiedział „z tobą”, ale tak spojrzął, że znów zaczęłam tracić pewny grunt. Cholerny czaruś! I te jego oczy. Te rzęsy wywinięte jak u dziewczyny. Te usta, które z taką łatwością wypowiadały słowa nieprawdy.

Pilnuj się! Odwróć głowę. Nie patrz.

– Co tu robicie? Pewnie masz sporo zajęć? – zagadnęłam tonem lektorki wiadomości radiowych. Tak przynajmniej pragnęłam zabrzmieć i chyba mi się udało.

– Tu jest krok do jeziora, pływamy codziennie. Na żaglówkach, jak pewnie wiesz. Prócz tego gramy w siatkę, zbieramy jagody, mamy też w planie podchody – pochylił głowę ku mojej i uśmiechnął się.

Specjalnie tak spojrzął? Ciekawe, czy ma na myśli również nocne podchody...

★

Były kiedyś takie. Sto lat temu, lecz pamiętałam każdy szczegół. Szkolny biwak. Nocleg w stodole na sianie, chłopcy po jednej stronie, dziewczyny po drugiej. Budzili nas kolejno i kazali iść tropem zawiązanych na krzakach i drzewach białych tasiemek. Świecił księżyc, więc noc nie była taka straszna, choć droga przez las, pełna tajemniczych odgłosów, wiodła na stary wiejski cmentarzyk. Ostatnia, największa wstążka wisiła na jego ogrodzeniu. Należało w tym miejscu poczekać na zmiennika i potem inną drogą, też oznakowaną, wrócić do stodoły.

On był tą osobą, która przysłała pod cmentarz, by mnie wymienić. Zauważył, że zmarłam i dał mi swój sweter. Golf, jeszcze ciepły od jego ciała. Pachniał

proszkiem „lxi” i trochę dymem z ogniska. Gdy wracałam, gruba owcza wełna gryzła mnie po rękach i szyi. Wyobrażałam sobie, że tułą mnie jego ramiona.

Kiedy ostatni uczestnik podchodów dotarł do bazy, całkiem się rozjaśniło. Nikt się już nie kładł, wszyscy opowiadaliśmy sobie o emocjach minionej nocy.

Stał blisko.

– Dziękuję bardzo. Dżentelmen z ciebie – dopiero teraz zwróciłam mu jego własność.

– Drobiazg. – I ten uśmiech! Te oczy. Rzęsy. Czułam, jak grzęzną.

– Maja. Fajne masz imię – powiedział. Zastąpił mi słońce, taki wysoki, patrzył na mnie, lekko schyliwszy głowę. Jego palce – czułam, że nie przypadkiem – musnęły moje. Jakby na dłoni na ułamek sekundy usiadł mi motyl. – Maja naga i Maja ubrana... – ściszył nieco głos.

– Co? – Nie wiedziałam, czy się obrazić, czy wpaść w jeszcze większy zachwył. – Naga?

– Też – uśmiechnął się. – Twoje imię tak mi się skojarzyło.

I tak nie zrozumiałam, bo jeszcze wtedy nie wiedziałam, kto to był Francisco Goya. Ale wariant obrażenia się już nie wchodził w grę. Utonęłam bez ratunku.

★

Siedzieliśmy pod drzewami. Rozmowa, od początku potykająca się o własne nogi, całkiem przestała się kleić. Zdjął bluzę, już nawet w cieniu było czuć wzmagający się upał. Ja nie miałam odwagi odpiąć choćby jednego guzika pod szyją. Bałam się, że on mógłby w tym zobaczyć jakiś gest zachęty. Wciąż byłam czujna.

Gryzmołił coś po ziemi patykiem, milczenie przeciągało się. Nawet mi to pasowało, mogłam poczuć się swobodniej, zebrać myśli.

– Majka, czy nic się nie zmieniło? – spytał zniecierpliwiony.

– Oczywiście, że się zmieniło! – i już było po spokoju.

Jak śmiesz? Nie napisateś, choć obiecywałeś, tyle nocy przez ciebie przepłakałam. Jak śmiesz zadawać mi takie pytanie?!

– Bardzo wiele się zmieniło.

Chciałam jasnym i pewnym spojrzeniem potwierdzić stanowczość tych słów, lecz nie potrafiłam. Wszystko się we mnie znowu trzęsło.

Nie, Arczku. Nie tak dużo, jak być może pomyślałeś po mojej odpowiedzi. Durne serce pozostało to samo...

Z opresji wybawił mnie widok zbliżających się koleżanek. Podniosłam się i zrobiłam krok w ich stronę.

Spokojnie. Pomatu. Niech one też niczego nie zauważą.

– Ten żuk, który nas mijał, pamiętasz? – powiedziała Gośka. – Jest z obozu, dowozi tu jedzenie. Zaraz jedzie do miasta po zakupy, załatwiłyśmy, że nas podrzuci. Kierowca widział nas na szosie, ale nie mógł zabrać, bo całą pakę miał zawaloną.

Ja go nawet trochę kojarzę, pracuje w tej firmie, co mój wujek, przyzwoity facet...
– rozgadała się.

– Trzeba się zbierać – Irena przerwała jej wywody i zanurkowała do namiotu.

– Jeszcze nie zdążyłam zjeść śniadania – próbowałam znów coś ugrać. – Ani się umyć.

– Zjesz po drodze – Irena, już z wyciągniętym z namiotu plecakiem, nie zamierzała dawać mi forów.

– W domu się domyjesz – teraz Gośka dorzuciła swoje trzy grosze. – Ten od żuka powiedział, że rusza za pięć minut, pośpiesz się. Bierzymy swoje bambette i startujemy. Arek, cześć. – Odwróciła się w kierunku drzewa, pod którym on wciąż siedział. – To znaczy do zobaczenia, bo ja tu przyjadę za tydzień ze starymi, z wałówką dla braciszka.

– Cześć – pożegnał się z nią, ale patrzył na mnie.

★

Zaczekałam, aż dziewczyny trochę się oddalą. Wzięłam głęboki oddech. Sztynność w tydkach ustąpiła, już bez trudności mogłam zrobić tych parę kroków dzielących nas od siebie. Zbliżyłam się na wyciągnięcie ręki. Wstał. Lekko krzywił usta, nawet mnie to trochę rozbawiło, bo miałam wrażenie, że szykuje się do odegrania jakiejś pantomimy pożegnalnej.

– Trudno, Areczku – podałam mu dłoń, wracając do tonu pani z radia. – Wprawdzie dawny sentyment trzyma mnie w tym miejscu, ale sam rozumiesz. Muszę iść.

Właśnie tak. Z lekką, ale wyczuwalną nutką ironii. Brawo.

Przytrzymał chwilę moją dłoń. Przysunął się. Jego oczy jakby na sekundę pociemniały. A może tylko miał to wyćwiczone, jeszcze teraz się gubiłam w tych jego sztuczkach.

Uważaj!

– Idź, Majka – jak to zwykle on. Z tym swoim spojrzeniem spod długachnych rzęs. I tonem, który skruszyłby najtwardsze serce i za który miałam ochotę uderzyć go w twarz, kabotylna jednego.

– Idź – powtórzył.

– No, tylko się nie rozplacz. Pa.

Coś takiego! Nawet stać mnie na drwinę! Bomba.

Zrobiłam kilka kroków, lekko i z wdziękiem, niczym tancerka.

Bardzo dobrze. Brawo.

I za chwilę dostałam cios w plecy.

– Majka! – Odwróciłam się. – Może przyjadę w sierpniu. Chciałbym odwiedzić starych znajomych, będziesz w domu?

– Miałam plany, ale zdaje się, że nic z nich nie wyjdzie. Jak przyjedziesz,

wpadnij do mnie, oczywiście. – Mój wewnętrzny dygot, zanim zdążyłam wymyślić lepszą odpowiedź, sam wyartykułował tę głupią żebranię.

Pieprzony Don Juan! Znowu był górą. Wiedział, jak mnie zapędzić do klatki. „Może”. „Chciałbym”. Żadnych konkretów, a ja znów będę czekać jak głupia.

Cholera!!! Nie udało się. Po co to „wpadnij”? Jakie „oczywiście”? Jesteś żałosna.

*

Trzęsło niemiłosiernie na tej przyczepie żuka. Wpatrywałam się w jeden punkt, poszarpane rozdarcie z boku plandeki, tuż koło mojej głowy. Milczałam. Chciało mi się ptakać. Czułam na sobie spojrzenia dziewczyn. Miałam ochotę zaćkać uszy, bałam się, że za chwilę zaczną chrząkać znacząco i śmiać się ze mnie.

– Stara miłość nie rdzewieje? – zażartowała Irena.

– Odczep się – syknęłam, choć w jej tonie więcej było współczucia niż drwiny.

Do kogo ta mowa? Dopiero teraz? Nie ten adres. Trzeba było tak powiedzieć jemu.

Wciąż nas widziałam. Na tej dziurawej plandece, niczym na płótnie kinowego ekranu. Mnie i Arka. Tam, wśród namiotów i drzew. Jak na zwolnionym filmie przewijałam ciągle ten sam kadr.

Wstaję i odchodzę. Tak lekko jak tancerka. Przez ramię rzucam z uśmiechem krótkie „nie”.

Będziesz w domu? Nie.

Będziesz w domu? Nie.

Przyjadę w sierpniu, będziesz w domu? Nie.

Odwiedzę starych znajomych, będziesz w domu? Nie.

Wpadnę, będziesz w domu?

Nie. Nie. Nie.

Nie wiedziałam wtedy, że to było nasze ostatnie spotkanie. Nie wiedziałam też, że gdy po trzydziestu latach on niespodziewanie do mnie zadzwoni i spytam go, czy jest szczęśliwy, nie będzie umiał znaleźć odpowiedzi.

I że nie poświęcę mu już ani jednej tzy.

(grudzień 2015/marzec 2016/styczeń 2017)

HANNA BILIŃSKA-STECYSZYN: mieszka w Lubniewicach. Nauczycielka, pisarka, recenzentka. Członkini ZLP. W Oficynie Wydawniczej Silver opublikowała powieści: *Wbrew pozorom* oraz *Druga szansa, czasem trzecia...* Wydała także wspomnienia pt. *Pelunia* (nominowane do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego) oraz opowiadania w antologiach: *A wszystko przez tę książkę* i *Nikomus się nie śniło*. Współpracuje z czasopismami literackimi. Autorka dziennika i blogerka („Kobieta domowa” – www.kobietadomowa.wordpress.com).

W IMADLE ASFALTOWYCH OBJĘĆ

Aneta Gizińska-Hwozdyk

Pod ukłonami drzew, z otwartym w niebo oknem, żywot toczyła Polna Droga. Jak zmija petzta ku nieskończoności, gdyż łączyły ją tętnice innych okolicznych dróg. Nikt nie wiedział, gdzie jest jej źródło, nie wpadała do żadnego oceanu. Rozpytywała się wśród pól, tworząc rozlewisko kaczeńców, maków i chabrów.

Elegantką nie była. Przyjmowała w darze od ziemi wszystkie niespodzianki, lecz one nie przyczyniały się do tego, że była ładna. Jak tysiące innych dróg... Z chrzęszczącym śniegiem piachu, oczami dziur nieustannie wypatrywała życia. Postrzępiona rana pobocza, zabliźniona na co dzień, krwawiła po obfitych opadach deszczu. Jednak taki stygmat polnej drogi nie doskwierał zbyt bardzo i przesadnie. Zawsze bowiem była nadzieja na kolejne zabliźnienie, gdyż czas suszy i opadów wykreślał biorytmy, na podstawie których wciąż żyła.

Grała w bierki prawie niedostrzegalnymi kamyczkami, które raz po raz toczyły się z niewysokich gór i opadały, pociągając za sobą inne. Gry tej nauczył ją wiatr. Czasami był zbyt gwałtowny. Kamyczki stawaty się wtedy głazami i siekły na oślep oblicze Polnej Drogi, żłobiąc bruzdy. To one – bruzdy – przyczyniały się do tego, że czasami przeistaczała się w Błoto Nie Do Przebycia. Bezimienny protest za deszcz, błyskawice i przeraźliwe lanie, któremu bezwolnie poddawana, musiała się bronić. Zdarzało się, że na złość ścisnął ją w imadle objęć – mróz. Tylko on potrafił jak najszybciej pozbyć się jej błota, którego w przyptywie złości nie szczędziła. W końcu błoto przepoczwarzało się w grudy. Ostre, wielkie bryły o twardych szczytach i nierównych krawędziach... Grudy przerażały i Polna Droga o tym wiedziała, więc wydawała je na świat niezwykle rzadko. Ze światem bowiem Polna Droga żyła w zgodzie. Dlatego w tej strefie klimatycznej nie złościła się długo. Kilka dni ostrych grud i ponownie stawata się Polną Drogą O Łagodnym Obliczu. Nie mogła wiedzieć, że tętnicami odległych od jej serca żył łączy się z takimi drogami, które przez cały rok mają do zaoferowania światu tylko grudy. Grudy skrzące się, twarde, niebezpieczne. A promień słońca je ziębi, a one nigdy nie przestają się złościć. Aż chciałoby się taką drogę ukarać za te grudy...

Polna Droga żyła w przyjaznej, umiarkowanej strefie klimatycznej i, choć o tym też nie wiedziała, gdyż polne drogi najczęściej działają instynktownie, czerpała z tego określone korzyści. Choćby takie, że nie było za co wymierzać jej kary...

Tempus fugit... Okazało się, że nawet Polna Droga posiada pewne granice, do których ma prawo się zestarzeć. Później – uczynią z niej wyprasowaną na sztywno, granatową kokardę z nieskazitelnie białymi groszkami idealnie równych kamyczków. Gdy Polna Droga przeszła metamorfozę w Asphalt, nie ujrzała już nieba. Została

wylana. Wcześniej łać mógł ją tylko deszcz i wmawiała sobie, że to jej cierpienie. Na „to” wylanie, którym ją ukarano, nie miała wpływu i nie mogła bronić się błotem.

W końcu zapleciono kokardę z granatowej wstęgi, następnie ją przecięto i ostatni raz odtańczono tu uroczyście walcem walca, aby wkrótce mogły ją rozjeździć inne samochody, w dzikich płaszcach twardych kół. Tam bowiem, gdzie pojawia się Asfalt, od razu – niczym spod ziemi – wytażą samochody, cywilizując podbitą drogę. Polną Drogę.

Polna Droga, choć uwięziona przez Asfalt, nadal wyprawia figle. To urodzi pod wpływem mrozu – bruzdę, która rozsadzi Asfalt, aby wiosną dać życie rachitycznym źdźbłom trawy. To filuternie mrugnie okiem, zdawałoby się już na wieki zamkniętym, a pod wpływem mrugnięcia stworzy dziurę – wyrwę w Asfalcie. Na pobocze nieustannie wyskakują spod kół przodowników cywilizacji – samochodów maki i chabry, które za Polną Drogę ślą uśmiechy ku niebu.

Asfalt posiwiął od tej nieustannej walki z przyrodą. Starzeje się dużo szybciej aniżeli Polna Droga! Tymczasem ona gra z cywilizacją. To już nie są zwykłe bierki kamyczkami, to wielka gra o duszę, której przyrodzie nigdy się nie odbierze.

Biedny Asfalt – o tym jaszczke nie wie...

ANETA GIZIŃSKA-HWOZDYK: nauczycielka języka polskiego i rosyjskiego w II LO w Gorzowie. Opiekunka szkolnego koła teatralnego i grupy początkujących literatów. Autorka nagradzanych opowiadań i małych próz. Wydała zbiór opowiadań *Biedroneczko, leć do nieba* (2010)

Foto: Marta Wrzask



Jolanta Karasińska

Pożegnanie

dzisiaj nastąpił ten czas
 byś rozpiął żagle
 i wyptynał samotnie
 na zieloną wyspę
 doptynął do drugiego brzegu
 nie musisz czekać na wiatr
 kolejną kroplówkę
 sam ze sobą
 podążaj srebrzystym szlakiem
 zataczaj śmiałe kręgi na wodzie
 bez zegarka
 życiowej przestrzeni
 wolny od bólu
 cierpienia.

Lato to dobry czas.
 Zawsze je lubieś...

Na zakręcie

prawdziwość chwili
 nie odpuszcza człowieczeństwa
 tylko czasami przyzwala
 na zamieszanie i nieuwagę
 mówi sprawdzam

czułość nie przynosi wstydu
 choć niewyczekiwana
 budzi lęk i pustkę
 walczy o siebie
 prawdę
 i kolejny brzask jutrzeńki
 o zapach kolor
 spokojny oddech
 o życie z miejscem na spełnienie

nie jesteś
 znakiem rozpoznawczym
 literą
 zbyt długim
 nawiasem przypadkowego zapisu
 posiadasz prawo
 do ziemi
 słońca i wiatru
 bycia sobą

JOLANTA KARASIŃSKA: barlinecka poetka, autorka utworów dla dzieci i dorosłych, tekstów scenicznych, scenariuszy kabaretowych. Wydała pięć tomików poezji dla dzieci oraz trzy zbiory poezji dla dorosłych: *Skrawek nieba* (2011), *Jeszcze wczoraj tańczyłam z gwiazdami* (2013), *Poza horyzontem ludzkich spraw* (2020). Od kilku lat należy do grupy malarskiej „W Kręgu Sztuki”, a od 2018 roku jest członkinią ZLP. W 2019 za działalność artystyczną i promocję Barlinka otrzymała tytuł Ambasadora Barlinka.

Janina Jurgowiak

DAJ SIĘ PROWADZIĆ

Nie idź utartym traktem
 zbyt łatwo zgubić się w tłumie
 idź poboczem miedzą ścieżką
 niech idą z tobą trzy siostry
 niech czuwa uważność
 byś nie zmyliła drogi
 nie uległa pokusie chaszczy
 Pamiętaj
 po manowcach chodzą wariaci artyści
 i podejrzone typki
 ale ciebie wspiera ŚWIAT
 prowadzi pajęczą nitką wrażliwości i wyobraźni
 twój MUNDUS AUDIMENS.

23. 07. 2023

OBRAZEK Z GORZOWA

Idziemy bulwarem wolniutko,
 noga za nogą, żeby dłużej.
 Wiemy: bulwar jest krótki jak życie,
 więc powoli.
 Smakujemy naszą bliskość,
 przysiadamy na ławce,
 choć nie czujemy zmęczenia,
 żeby dłużej, żeby jeszcze...
 Koniec - tu bulwar się kończy.
 Jest jeszcze ścieżka
 wygodna jak emerytura.
 Na końcu zakole skłania do powrotu,
 zatem wracamy.
 Inaczej jak w życiu,
 gdzie tylko w jedną stronę.

JANINA JURGOWIAK: nauczycielka, poetka, satyryczka. Członkini Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury i Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Jej teksty znalazły się w czasopismach i antologii *Poetycki portret miasta Gorzowa i jego mieszkańców*. W 2018 roku wydała zbiór wierszy *Odroczenie*.

GORZÓW – ZIELONA GÓRA

Agnieszka Moskaluk

Łup! I jeszcze raz! Bo przecież nie wystarczy raz rąbnąć przesuwными drzwiami. Trzeba poprawić, rozglądając się po przedziale, czy aby dostrzegłem wielkie wejście gwiazdy. Ale „dzień dobry” to już nie łaska. Ładuje się taka. Hałas robi. Po nogach depcze, choć w przedziale nikogo, tylko ja i ona. No i nie znajdzie sobie normalnego miejsca, żeby każde miało swoją przestrzeń. Nie. Musi usiąść naprzeciwko, wyciągnąć kopyta, tak że odruchowo podkurczam nogi jak jakiś szkolniak. Zero szacunku.

Ale nie to jest najgorsze.

Najgorsze jest to memtanie. Działolenie. Gadanie. Wzdychanie. Kłaskanie. Stękanie. Mamrotanie. Chichotanie. Mruczenie i buczenie. Głośnie wydychanie powietrza. To znížanie głosu, że niby teraz będzie zdradzać jakąś tajemnicę. Ale co to za tajemnica, mój boże, zwykłe plotki, jakby w maglu była, nie w pociągu. Że też na tej trasie nie ma przedziału ciszy. Miałby człowiek święty spokój, nie musiałby uczestniczyć w tych żenujących wyznaniach. Opowieściach o „nastukanych ziomkach”, „imbie”, „triggerowaniu głupiej suki” i „zajawce na wixę”. Już pominię, że z polszczyzną te wywody niewiele mają wspólnego, ale ona nawet nie potrafi artykułować porządnie tych dziwnych fraz. Zlewa się to w jeden dręczący potok dźwięków. Że też rozmówca w ogóle rozumie, o co jej chodzi. Może tak samo bełkocze?

Chrząkam znacząco. Ale gdzie tam. Poprawia włosy z lewej na prawą i z prawej na lewą stronę, odchyła głowę do tyłu i wciąż gada, gada, gada. Nawet telefonu nie używa, tylko te dziwaczne bezprzewodowe słuchawki.

Wychodzę z przedziału. Delikatnie zamykam za sobą drzwi, może zrozumie, jak ich używać. Wpatruję się w okno. Jest brudne. Pewnie nie da się go nawet otworzyć. Ale nie będę sprawdzać, bo zrobi się przeciąg. Łeb mi urwie. Wracam do przedziału. A ta? Nadal gada. Ale chyba już z kimś innym. Być może o mnie: ... lampi się jak głupi, pitolony boomer – śmieje się, ale milknie, kiedy siadam na swoim miejscu.

Ja jej dam głupiego!

Wstaję, uśmiechając się do niej przepaszając. Sięgam do torby, w której wiozę zdobycze z pchlego targu na Woskowej. Tym razem wyprawa go Gorzowa udała się znakomicie. Znalazłem porcelanową filiżankę Rosenthal Sanssouci Diplomat do moki, z nieszkodzonym uszkiem i spodeczkiem do kompletu. Lata 40. Ze znakomicie zachowaną scenką rodzajową. Prawdziwy skarb. I wspaniały wazon z łososiowego alabastru. Antyczny wzór. Egipski. Z ręcznie rozrzeźbianą pokrywką.

Na Allegro widziałem podobny za 400 zł. A tu udało mi się kupić za niecałe 200. I właśnie ten wazon delikatnie wyjmuję z torby. Odwijam z ochronnej bibuły i ostrożnie stawiam na ministoliczku przy oknie. Głazczę obty kształt, uśmiechając się do siebie. Zerkam, czy widzi. Udaje, że jej nie interesuje, co robię, ale spogląda w moją stronę. I jeszcze raz, już bardziej ostentacyjnie. Wyciągam telefon. Wystukuję numer. Czekam chwilę. Do nikogo nie dzwonię, ale ona przecież o tym nie wie. Po chwili zaczynam „rozmowę”: ... Tak! Jeszcze chwila i będziemy w domu... Słucham? Tak, tak! ... Mamusia jest bardzo zadowolona. Właśnie patrzy przez okno. Krajobraz niepiękny, ale nie może przecież cały czas siedzieć w torbie. Wiesz, jak lubi przyglądać się światu...

Łup! Szarpie się chwilę z drzwiami i gwałtownie wybiega z przedziału. Chowam telefon do kieszeni.

AGNIESZKA KOPACZYŃSKA-MOSKALUK: dziennikarka, edukatorka, pomysłodawczyni Ogólnopolskiego Festiwalu Poetyckiego im. Kazimierza Furmana FurmanKa. Wydała trzy książki poetyckie: *Ze słońcem w kieszeni* (1992), *Codziennie* (1997) i *Kochany* (2009) oraz książkę kulturalno-kulinarną *Landsberg/Gorzów – miejsce pamięci* (2015).

Od 2018 roku pracuje z dziećmi, czego efektem jest 5 książek z bajkami, scenariusze do przedstawień oraz 10 audiobooków. Od 2021 roku prezeska gorzowskiego oddziału ZLP.



Foto: Marta Wrzask

MADONNA Z PRZYSTANKU

Beata Patrycja Klary-Stachowiak



Na ścieżkach wieloświatów jest wciąż za mało miejsca, aby pomieścić ogrom samotności. Ile by nie przeczytać książek, narysować szczegółowych szkiców czy zbadać fenomen relacji plenia złożonego z tysięcy petzających larw muchówek, ze swoim pojedynczym istnieniem jesteśmy zdani na siebie. Przystanki jakichkolwiek miast i miasteczek nie obejmą marzeń o wyjazdach i podróżach nawet części z nas. Podróż przecież to miraż zmiany czegokolwiek,

co i tak jest stałe, w swej naturze niezmiennie. Nowa dekoracja nie czyni nas innymi. Droga nie czyni miejsca rozwiązaniu. A rozwiązanie nie wyjaśnia zagadki.

Dziewczyna ze słuchawkami na uszach ostentacyjnie siedziała na krawężniku zajezdni autobusu. Szkolny plecak, już prawie pusty z ostatnim dniem roku, rzucony od niechcenia wycierał bruk. Delikatna bluzka rysowała symetrię obojczyków i piękno drobnych piersi, tak hojnie odsoniętych w gorący dzień. Planowany numer wciąż nie przyjeżdżał, ale nikt z reszty oczekujących nie przejmował się tym zupełnie. Już tak bywa na wioskach tego świata, że czas w swoim względnym pojęciu tutaj jest najwłaściwiej rozpoznany. Leniwie sączy się przez płoty okolicznych cmentarzy i, patrząc w pustkę nazwisk na grobach, sam sobie wyznacza powolność lub szybkość działania. Odkąd umarł ostatni taksówkarz w okolicy, przystankowych ludzi przybyło. Nikomu jednak nie chce się w taki czerwcowy dzień wsiadać do starego pojazdu, gdzie zaduch spoconych ciał miesza się z gryzącą wonią odświeżacza samochodowego. Ta mieszanka potrafi każdego powalić z nóg, dlatego najczęściej poszukiwane są miejsca siedzące. Balbina po babce, która stnęła z jąkania przechodzącego, gdy tylko zaczęła śpiewać pieśni swojego plemienia, znalazła jedno z ostatnich miejsc pod smugą stońca zaraz przy szybie. Ten poblask wytonił z jej zaplecionych na karku włosów różnokolorowe refleksy i przez chwilę miało się wrażenie, że to nie dziewczyna, a madonna z aureolą blasku, próbująca odgadnąć przyszłość tęskniącymi źrenicami, sennie przepływa przed pełnym dojrzałych zbóż krajobrazem. Ale tak, jak poświata, również myśl o nadchodzącym czasie potrafi rozwiązać jedna chmura. Nagły deszcz u progu lata nie tylko zalewał przybrudzone szkło starego autobusu, ale i zaróżowione młodością policzki. Są bowiem takie deszcze, których nie da się oddzielić od teź.

Ilustracja do tekstu jest efektem współpracy autorki ze sztuczną inteligencją

BEATA PATRYCJA KLARY-STACHOWIAK: poetka, krytyczka literacka, animatorka kultury. Współorganizatorka spotkań FurmanKa w drodze, organizatorka festiwali organizowanych w MCK Jedynka i wielu autorskich inicjatyw kulturotwórczych. Autorka kilkunastu tomików poetyckich, m.in. *Szczekanie głodnych psów*; *De-Klaracje*; *Misterium Solitera* czy *Martwia* oraz książki kulinarno-poetyckiej *Wege nad Wartą*. Stypendystka Stowarzyszenia ZAiKS, Fundacji im. W. Szymborskiej, Miasta Gorzowa Wielkopolskiego, Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Laureatka wielu konkursów literackich, w tym trzykrotnie Lubuskiego Wawrzynu Literackiego i Motyla – nagrody kulturalnej prezydenta Gorzowa (2022).

IMIENIA SCHODOWA

Ferdynand Głodzik

Los go nie szczędził, nie ostaniał,
w swym życiu wiele miał roboty,
chodził wytrwale, choć się staniał,
bo Schodow taki miał genotyp.

Obchodził wszystkie kąty wokół,
znał babcię, wnuczkę, córkę, matkę,
z piętra na piętro, w każdym bloku,
na strych z piwnicy w każdej klatce.

Sońce go piekło, deszcz go moczył,
chtód mu doskwierał, mróz go mroził,
a on wytrwały i ochoczy
wciąż obsesyjnie za kimś chodził.

Choćby pośliznął się i upadł,
nie zełził się, nie zaklął szpetnie,
subtelny był i nie rznął głupa,
bo stapał miękko i dyskretnie.

Wręcz ogarnięty jakąś manią,
przy której trwał przez całe życie;
ni to spowiednik, ni stróż anioł,
ni stuga to, ni donosiciel.

Wszystko wypatrzeć mógł ukradkiem,
kiedy w półcieniu chwilę przysiadł,
jego imieniem zwą dziś klatkę;
on aktualny jest do dzisiaj.

FERDYNDAND GŁODZIK: poeta, satyryk, członek ZLP i RSTK. Własnym nakładem wydał kilka arkuszy z tekstami satyrycznymi, a w 2006 roku zadebiutował oficjalnym tomikiem *Winien i ma*. Wydał również tomiki: *Własnym nosem* (2011), *Szachy na lachy* (2014), *Fredność i przechera* (2016) oraz *Księgo imion* (2017). Laureat nagród i wyróżnień. Miłośnik szachów i jogi.



Foto: Marta Wrzask

POSZUKIWANY

Milena Guzik

Kazano mi go znaleźć. Kazano mi go znaleźć, choć nie widziałem go od lat. Nie miałem pojęcia, gdzie go szukać. Nie pamiętałem też, jak wygląda. Jedyne, co zakodowało się w mojej pamięci, to uczucie pogardy względem niego. Jednak nikogo to nie obchodziło – zadanie to zadanie. Musiałem go znaleźć.

Zostałem porzucony na szczycie góry, który spowijała fioletowa mgła. Nie miałem pojęcia, jak się tam dostałem. Jedno wiedziałem – wyżej już nie dam rady się wspiąć. Przez ograniczoną widoczność nie mogłem podziwiać otaczającej mnie panoramy. Nie miałem szans na określenie swojej lokalizacji. Z każdym wdechem myślałem mniej logicznie. Powietrze było ciężkie i miało rdzawy posmak.

Nagle usłyszałem trzask. To niebo się otworzyło. Z prostokątnej krateczki w chmurze spuszczonego obiektu. Upadł z hukiem obok mnie. Odskokiem momentalnie w bok. Po chwili jednak zobaczyłem, że była to lina. Nie miałem siły, żeby cieszyć się z podarunku. Spojrzałem tylko w niebo i po cichu podziękowałem. Kratka w chmurze się zamknęła. Nieboskłon znów wydawał się normalny.

Ufając siłom wyższym, zacząłem schodzić. Im byłem niżej, tym robiło się wokół mnie ciemniej. Słyszałem również trudne do opisanego dźwięki. Jedno wiedziałem. Gdy zejdziesz na sam dół – nie będę sam.

I miałem rację. U podnóża góry rozciągał się mroczny las. A w nim drzewa o ludzkich twarzach. Wspomniany dźwięk to szum, jaki wydawały przy kotysaniu. Drzewa bacznie mi się przyglądały, tak jakbym był intruzem. W sumie było w tym sporo prawdy. Jednak nie przybyłem tutaj świadomie zakłócać im spokoju. Tylko wykonywałem powierzone mi zadanie. Mój największy problem był taki, że nie wiedziałem, gdzie dalej podążać. Brak ścieżek nie ułatwiał zadania. Pragnąłem jak najszybciej opuścić to miejsce, aby nie musieć oglądać już tych twarzy.

Uświadomiłem sobie, że mam trzy opcje. Pójść w lewo, prosto lub w prawo. Postanowiłem ruszyć przed siebie. Maszerowałem dwie godziny i ku mojemu rozczarowaniu spostrzegłem, że wróciłem w to samo miejsce. Kręciłem się w kółko jak głupi. Zrezygnowany usiadłem na kamieniu. I wtedy zdarzyło się coś niesamowitego. Kamień zaczął wibrować. Poczułem przepływ energii między nim a mną. Rozmawialiśmy ze sobą – tyle że w myślach. Dowiedziałem się wiele na temat okolicy.

Drzewa mają smutne wyrazy twarzy, bo są pogrążone w żałobie. Okazało się, że mój obiekt poszukiwań był tu w przeszłości. Wyciął znaczną część lasu, aby zbudować sobie chatę. Jednak dawno już tu nie mieszka. Przeniósł się ponoć ze swoim drewnianym domkiem na pustynię.

Nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem. Miałem kolejny powód, aby nie cierpieć go jeszcze bardziej. Dopuszczać się czegoś takiego na bezbronnych drzewach. Gdybym mógł, odegrałbym się na nim. Niestety, pamiętałem, że muszę przy prowadzić go żywego. No cóż, wypuściłem powietrze z ust i wstałem z kamienia. Czekala mnie podróż na pustynię.

Kamień mnie nie oszukał i faktycznie udało mi się dotrzeć do miejsca docelowego. Z oddali dostrzegłem drewnianą chatkę. Wstąpiła we mnie jakaś szaleńcza energia i zacząłem biec w kierunku obiektu. Gdy miałem już zapukać do drzwi – wszystko się rozmyło. To była tylko fatamorgana. Padłem na piasek. Miałem już serdecznie dość. Nie pamiętam, jak to się stało, ale zasnąłem.

Obudził mnie przyjemny zapach. Był to świeżo upieczony sernik. Niósł go w swoim łapkach fenek pustynny. Nie pamiętam skąd, ale słyszałem, że zwierzęta te znane są ze swojego talentu cukierniczego.

Pustynny lisek zbliżył się do mnie i podał kawałek ciasta. Fenek nie pytał. Fenek rozumiał. Kiedy zasnąłem na pustyni, musiał wciągnąć mnie do swojej norki. Jak się potem dowiedziałem, gdyby tego nie zrobił – zginąłbym zasypany podczas piaskowej burzy. Byłem mu bardzo wdzięczny i nie chciałem zawracać głowy namolnymi pytaniami. Jednak nie miałem wyboru. W końcu moja podróż miała cel. Przebyłem szmat drogi. Nie mogłem się teraz poddać.

Zapytałem mojego futrzastego wybawiciela, czy widział w okolicy drewnianą chatę zamieszkałą przez pewnego jegomościa. Fenek przytaknął, jednak powiedział, że jest pewne „ale”. Domek stoi w pobliżu. Niestety, jest on opuszczony. Jego krewni ponoć widzieli kiedyś, że świeciło się tam światło w nocy. Jednak gdy przyszli zanieść powitalne ciasto, nikogo tam nie zastali. Zrobili trzy podejścia i za każdym razem – pudło.

Z trudem przyjąłem tę informację. Jednak wiedziałem, że muszę się tam udać. Podziękowałem pustynnemu liskowi za wszystko i ruszyłem w drogę.

Być tak blisko, a tak daleko. To zdanie precyzyjnie oddawało mój stan. Gdy znalazłem się przed drewnianą chatą, wiedziałem, że nie będzie odwrotu, gdy pociągnę za klamkę. Drzwi lekko skrzypnęły. Były pokryte pajęczyną. To znak, że dawno nie było tutaj żywej duszy. Ostrożnie wszedłem do środka. Rozejrzałem się po bokach, by niczego nie przeoczyć. Może zostawił po sobie jakieś rzeczy? Jakąś wskazówkę? Cokolwiek...

Byłem na tyle przejęty całą sytuacją, że nie szukałem odpowiedzi na pytania, na przykład: jak to robił, że na środku pustyni miał prąd. To nie miało wtedy dla mnie znaczenia. Znalazłem się w pomieszczeniu na kształt kuchni, gdzie dostrzegłem małą lodówkę. Wziąłem głęboki wdech, zanim ją otworzyłem. Spodziewałem się najgorszego. Zwłok... Ku mojemu zaskoczeniu stał jeden jogurt waniliowy. Przyglądałem się mu bacznie, bo stanowił dla mnie ważną poszlakę.



Foto: Marta Wrzask

Do głowy przyszła mi dziwna myśl – a gdyby tak zjeść go? Nie byłem głodny, bo miałem jeszcze zapas sernika od fenka. Sęk w tym, że być może spożycie pokarmu innej osoby pozwoliłoby mi zrozumieć jej tok rozumowania. Niewiele myśląc, otworzyłem jogurt i zjadłem całą zawartość opakowania. Nie był to najlepszy pomysł, bo kolejnym punktem mojej wycieczki okazała się toaleta.

Przemyłem swoją zmęczoną twarz i spojrziałem ukradkiem w lustro. Wydawało mi się, że mam po tym jogurcie omamy. Widziałem swoje oblicze podwójnie. Tylko jakoś tak dziwnie...

Krew zmroziła się w moich żyłach. Już wszystko rozumiałem. To ON stał za mną. Odbijaliśmy się w lustrze razem, bo wyglądałyśmy identycznie. Nie wiedziałem, czy cieszyć się, czy bać. W zasadzie to nie miałem już siły na okazywanie tak silnych emocji. Wiedziałem, że muszę stać się panem sytuacji, zanim on to zrobi. Oznajmiłem spokojnie, że też nie jestem zadowolony... Jednak zostało przydzielone mi pewne zadanie, którego finał stanowi przyprowadzenie znalezionego.

W odpowiedzi usłyszałem tylko, jak parsknął śmiechem. Nie był to zwykły śmiech. Zawierał takie węzowe nuty. Jakby sam diabeł podkładał mu głos. Nie zniechęciło mnie to jednak. Było po dobroci. To nadszedł czas – siłą... Odwróciłem się i chciałem ująć go za ramię. Jednak ten wybiegł z łazienki. Ruszyłem za nim w pościg. Bawiliśmy się w kotka i myszkę dobrą godzinę. Aż obaj znaleźliśmy się na dachu. Czuję, że już go mam. Wtem wyciągnął asa z rękawa. A raczej wąż ogrodowy z kieszeni. Od przedmiotu tego biła jakaś dziwna poświata – tak jakby miał nadprzyrodzone właściwości. Mój nemezis (myślę, że w tym momencie zasłużył już sobie na to określenie) zagroził mi, że jeśli nie dam mu spokoju – to z tego węża będzie lała się woda tak długo, aż zatopi całą pustynię. Nie omieszkał mi wytknąć również, że krzywda spotka w pierwszej kolejności moich przyjaciół fenków, zamieszkujących norki.

Słuchałem tych gróźb jednym uchem, a drugim wypuszczałem. Zapomniałem wtedy o powierzonym mi zadaniu. O tym, ile wędrowałem, aby się tu znaleźć. W tym momencie wszystko to przestało mieć dla mnie znaczenie. Jedyne czego pragnąłem, to zepchnąć go z dachu. I tak uczyniłem. Z przyjemnością patrzyłem, jak spadał. Jednak nie uderzył o ziemię. Zniknął.

- Czy to normalne, że zniknął? – zapytałem.
- Jak najbardziej. Kiedy zintegrujemy się z naszym wewnętrznym cieniem, staniemy z nim jedność – odpowiedział mój terapeuta.

To on kazał mi odbyć podróż w głąb siebie i znaleźć tę część mnie, którą spycham ze sfery świadomości. Nie jestem szalony. Każdy z nas ma w sobie cień. Jednak nie każdy jest w stanie go oswoić, aby mógł wydostać się na powierzchnię.

MILENA GUZIK: absolwentka II LO w Gorzowie. W trakcie nauki brała udział w konkursach literackich i plenerach pod okiem Anety Gizińskiej-Hwozdyk. Kilka jej tekstów pojawiło się w antologiach.

Podczas studiów licencjackich kierunku dziennikarstwo i komunikacja społeczna jej opowiadania były publikowane w „Bardzo Uniwersyteckim Czasopiśmie”. W ramach praktyk koordynowała dział opowiadania na stronie portalu Sztukater. Obecnie studiuje na kierunku nowe media w komunikacji.

ŚCIEŻKA ŻYCIA

Weronika Górnicka

Pewnego razu, na planecie daleko od Ziemi, pojawiło się Życie.

I było tym bardzo zdziwione.

Nie wiedziało ani skąd się wzięło, ani po co.

Nie było ani wysokie, ani niskie. Ani grube, ani chude.

Po prostu było.

Im dłużej nad tym myślało, tym bardziej czuło się wyjątkowe.

Nie było nikogo podobnego. Życie było jedyne w swoim rodzaju. A że niewiele o sobie wiedziało, wszystko je ciekawiło.

Jak wysoko może podskoczyć?

Jak mocno się rozciąga?

Jak szybko może się poruszać?

Jak bardzo jest odporne na uderzenia?



Foto: Marta Wrzask

Czy może latać?

Życie chciało dowiedzieć się o sobie wszystkiego jak najszybciej. Pomimo tego, że nie wiedziało, co to czas, a tym bardziej sekundy, minuty czy godziny.

Chciało wiedzieć i to JUŻ.

Dlatego postanowiło robić wszystko, co tylko możliwe.

Jak się okazywało – z różnym skutkiem.

Po pewnym czasie Życie nauczyło się, czym jest radość – zaraz po tym, jak odkryło, że potrafi rozciągnąć się jak guma do żucia.

Dowiedziało się też, czym jest smutek, kiedy stwierdziło, że zdecydowanie nie umie latać.

Przy okazji rozumiało, że powinno na siebie uważać, bo stłuczenia po upadku bolą bardzo długo.

Życie było bardzo zdziwione. Za każdym razem, kiedy robiło coś nowego, zaraz potem na jego ścieżce pojawiała się kolejna rzecz. I następna, i następna... mnóstwo nieskończonych możliwości!

Okazało się, że Życie jest naprawdę nieprzewidywalne!

Niezależnie od tego, czy było smutne, czy wesołe nauczyło się, że w każdym momencie może wydarzyć się coś nowego.

Coś fantastycznego.

Bo było wyjątkowe.

Niepowtarzalne w całym Kosmosie.

WERONIKA GÓRNICKA: doktor nauk społecznych w dziedzinie nauk o polityce i administracji, specjalizacja: teoria polityki. Autorka kilkunastu artykułów naukowych, opublikowanych w czołowych polskich czasopismach, oraz bajki terapeutycznej *Księżycowe nadzieje* (Zielona Góra, 2023 r.). Od 2018 roku koordynatorka projektów unijnych w Regionalnym Ośrodku Polityki Społecznej w Zielonej Górze.

PEŁNO

Czesław Sobkowiak

Pełno

Nie

Krwinko, kropło rosy, liściu, kamieniu. Promieniu. Nie gaście mnie.

Pełno

Obudziłem się wcześniej. Weszło mi to ostatnio w fizjologiczny nawyk. Wyszedłem przed dom. Niebo już jasne. Przyjemny chłód. Pełno lipcowego światła w porannej godzinie. Jego istnienie wyostrza świat. Tym ciekawej i fascynująco jawi się każda rzecz, każdy zarys, linia, kształt. Wszystko iskrzy tajemniczo. Nie wydaje się, ale tak jest. Pierwsze odezwania ptaków. W tej godzinie połówka księżycza jeszcze widnieje na niebie. Pojechałem na targowisko, pustawą drogą, pustawymi ulicami, nie miałem poczucia, że trzeba wyęźać uwagę, jechałem swobodnie. Bez zważania na linie ciągłe, na czerwone światła. Na targowisku pełnia lata. Na wielu stołach wysypane czereśnie, spróbowałem jedną, malin obfitość, ogórków sterty, kalafiori, cebula ze szczypiołem, rzodkiewki, marchew wczesna, kopry rozsiewające naokoło osobliwy zapach, potrzebne do kisenia, więc dobrze, tak ma być, por, selery z zieloną nacią, pietruszki zachęcające, pełno borówki amerykańskiej, pełno główek młodej kapusty, młodych kartofli. Pomidorów odmiany – bawole serca, malinowe. Jajka. Ser biały. Buraczki. Ach. Sałata. I ludzi już tu dużo. I błękitu nad głową pełno. Urodzaj lata, któremu niemal zbędna jest poezja. Przypominają o niej jagody, leśne jagody. Ukłon dla jagód. Te barwy, soczystości, świeżości są poezją. Oczy cieszą. Zdziwiają. Szkoda, że potem te radości są dalekie i bardzo już obce. Możliwe zmienia się w niemożliwe.

Pokrzywa, ale nie pokrzywa

Jak nazywa się ta roślina, podobna do pokrzywy, nie parzy, ma delikatne, małe, liczne, niebieskie czy raczej fioletowe kwiatuszki, miękkie liście, która uznawana jest za chwast, której dałem miejsce w swoim ogrodzie?

Byłem w Gorzowie.

Dawno już nie przyszła okazja pojechania do Gorzowa, do Biblioteki Herberta. Okazja jak ta związana z wydaniem przez Marię Borcz kolejnego zbiorku poezji pt. „W pułapce miejsca i czasu”. Zupętnie przypadkowo, a może i nieprzypadkowo, napisałem do jej wierszy wstęp *To dzieje się naprawdę*. Jest ten zbiorek bardzo dobrze, klarownie skomponowany, wyrazisty w treści i wymowie duchowej. Napisałem więc z przekonaniem i z chęcią kilka zdań. Ma rację poetka, że zareagowała swoim słowem. Nie pokłada uszu po sobie. Jakże milczeć, gdy dzieje się coś tak nieprawdopodobnego jak „męczeńska śmierć”. Zdziwiająca dyscyplina słowa

towarzyszy temu poetyckiemu sprzeciwowi czy nawet protestowi. Niesamowicie dramatyczny zbiorek wyptywa z autentycznego wewnętrznego przeżycia poetki, z jej prawdziwej wrażliwości na to wszystko, co spotyka człowieka. Nie jest na to obojętna, gdy dotyka go krzywda, cierpienie, zło, nieszczęście. Istotą współczesności, od ponad roku, wszystkich zdarzeń, dziejących się naprawdę każdego dnia, jest wojenne unicestwienie Ukrainy. Wszystkiego, co tylko można unicestwiać, czyli domów, sklepów, szpitali, autobusów, dworców, mostów, zabytków, wymieniać by można w nieskończoność. Temu złu Maria Borcz postarała się „patrzeć w oczy”. Nie z daleka, ale bardzo bezpośrednio, jakby tam była, cóż, że za sprawą mediów – w Buczy, w Mariupolu, Irpieniu. Ma rację: „Sumienia nie zagłuszysz” w żaden sposób. To poezja nie tylko o cierpieniu, także jest wyznaniem wiary. Ale nie o faktografię chodzi poetce. To dla kogoś innego zadanie. Borcz, co bardzo istotne, wyposaża swoje wiersze w metafizykę. Cierpienie może być bramą do dobra. Wyposaża też swoje wiersze wielce erudycyjnie w liczne odniesienia do Biblii, do Ewangelii. Ta umiejętność mnie zadziwia. Sprawia to wszystko, że tomik uzyskuje uniwersalną wymowę. Jest tak naprawdę o drodze człowieka. Jak ta, można porównać, „uliczka Via Dolores”, po której na Golgotę szedł „człowiek zdradzony”. Nie możemy powiedzieć, że nie wiemy, nie słyszeliśmy, nie widzieliśmy. Obojętność obciążała by nas winą. Jest pełno śmierci. Wielki błąd i wobec siebie samej pełniła i popętnia nadal Rosja.

Pytanie o życie

Trudzi głowę. Co to jest życie? Co człowiek, to inna odpowiedź. Milion odpowiedzi. Ale z pewnością to, co mija, to jest życie.

Jechałem

Jechałem pod koniec czerwca. Byłem już za Sulechowem, gdy uświadomiłem sobie, że wszystkie notatki, mające mi być pomocne w Gorzowie, zostały w domu. Tak nieco zakłopotany dotarłem na miejsce. Gorzów wypiękniał. Byłem też pod wrażeniem liczby osób, które przyszły na spotkanie promocyjne (również „Pegaza Lubuskiego”). Gdzieś mignęła Basia, z którą nie udało mi się zamienić jednego słowa ani popatrzeć w oczy, kogoś innego też nie było, choć miałem nadzieję spotkać, ale uśmiechnął się powitalnie słynny Jerzy Gąsiorek. Poeta i plastik. Pani Maria też była uśmiechnięta.

Widzi

Światło widzi wszystko, co jest. I to wystarcza. Czy w ten sposób spełnia się jego zadanie, gdy nie pomija niczego? Jest tak, jakby rzecz światła polegała na obejmowaniu, na świadomości istnienia niezubożonej pełni.

Trawy

Trawa to jedna z tych ważniejszych roślin, a ile ich gatunków, które wymyślił Stwórca. Do trawy i traw mam czułość i słabość. To dzieciństwo, stopy bose, stokrotki,

Foto: Marta Wrzask



kaczeńce, łąki, krowy, bociany. Łozy nad stawem. Jarzębina. Jaskółki. Wejść pomiędzy trawy wysokie, przytulnie być z nimi jak za pan brat. To dostąpić czegoś, co sercu i ciału bliskie, na dodatek spać w nich. Leci pszczoła do koniczynki. Jakieś jeszcze liczne owady, szelesty delikatne. Kwiaty i zioła. Byłaby bez nich ziemia nie do przyjęcia, bez tego ich otulenia, jakaś nieprzyzwoita wręcz,

a w zasadzie nie do życia. Każdą ranę, wyrwę starają się zaciągnąć. Ciche trawy. Wreszcie miasta doceniły ich urok. I już widać, że niekoniecznie trawniki, skwery, różne miejsca są tak bezwzględnie spalinowymi kosiarkami wystrzygane. Ile z tej prostej decyzji pożytku, piękna, oszczędności i dobrego klimatu, trochę wiejskiego.

Wcześniej w niedzielę

Pojechałem w lipcową niedzielę wcześniej na gietdę wszelkich staroci, już mało użytecznych lub całkiem niedających się do niczego rzeczy, ale mających urok i oddech dawności, np. taka zużyta, pordzewiała końska podkowa, stary zegar w skrzynce, który by trzeba naprawić, jakaś ładna filizanka w jednym egzemplarzu, talerzyk, dzbanek zdobiony kwiatami, które tylko postawić na półce, na parapacie, kryształowy wazon, kieliszek na nóżce. Lampy, abażury. Pojechałem na gietdę kwiatów, ileż ich gatunków, rodzajów, butów do wyboru, rzeczy całkiem jeszcze dobrych, oryginalnych, których w sklepie nie kupisz, bo wyszły z mody. Pojechałem na gietdę niekoniecznie kupować, bo ile można, ale patrzeć warto, warto też zaznawać osobliwego klimatu, który wytwarzają ludzie, jacyś kolekcjonerzy, mający niepoprawne fascynacje, różnorodności, zapaleńcy, ceniący znaki zamierzchłego ducha czasu, którym nie sposób odmówić racji, bo przecież żmudnie jest żyć tylko tym, co tu i teraz.

Szła kobieta

Zwróciłem uwagę. Szła wolnym krokiem kobieta w podeszłym wieku, niskiego wzrostu, nieco wychudzona, o suchym wyrazie twarzy, wyraźnie zmarniała, licha jakaś, trochę jakby skrzywiona na bok, coś widocznie miała z kręgosłupem, biodrem lub nogą. Tak szła. Patrzę. Pali papierosa. Pomyślałem, na co jej to palenie papierosa jest jeszcze potrzebne.

W poezji

Wypada w poezji, należy lub trzeba po prostu, naśladować światło. Niczego to jednak nie zapewni, nie zagwarantuje, oczywiście niczego, mimo różnych wysiłków. Jak to bowiem zrobić, ile trafień nietrafionych przychodzi zaliczyć, ile myśli zbędnych, słów mijających sedno. Jednak naśladować należy.

Wszystko

Wszystko ma być wielkie, wykwintne, oczywiście nam się to należy. Zastugujemy. Kwiaty wielkie, auta wielkie, na wysokich kołach, domy obszerne, ubiory wyszukane, twarze po zabiegach kosmetycznych, podróże i pobyty wczasowe za duże pieniądze. Inaczej nasze czucie siebie wydatoby się nam mizerne i liche. Więc potrzebne są pyszne wielkości. Rzecz jednak w tym, niedoceniona rzecz, że drobny kwiatuszek, roślinka też jest na miarę kosmosu. Przyjmijmy to do wiadomości.

Biedronka

Biedronka była pierwszym przyjaznym zwierzątkiem lotnym, które bezpośrednio poznałem i zobaczyłem w dzieciństwie. Na łąkach było ich dużo, niejednokrotnie siadały mi na dziecięcej dłoni. Nie ukąsiły. Lubiłem je. Rodzice mówili, że są pożyteczne. I prośby zanoszą do nieba. Nikt nie ważył się zabić biedronki. Tak jak komara lub muchę bądź innego owada. I dzisiaj przyszedłem z ogrodu do domu, patrzę na ramieniu mam biedronkę. Wróciłem na dwór, zdmuchnąłem ją, otworzyła skrzydełka, poleciała. Że tak trzeba, zostało mi z dzieciństwa.

We wrześniu

We wrześniu, który jest dobrym miesiącem i wiele by można o jego zaletach, blaskach, światłach, ciszach – przyjadę. Niech zostanie osnuta tajemnicą cała reszta tej poezji i prozy.

CZESŁAW SOBKOWIAK: poeta, prozaik, krytyk literacki. Laureat Lubuskiego Wawrzynu Literackiego (1997, 2003, 2015). Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wydał zbiory wierszy: *W białej koszuli* (1970), *Powieść w odcinkach* (1974), *Razem* (1974), *Potrzeba zjednoczenia* (1976), *Zapis* (1976), *Bezsensność* (1977), *Okolice słońca* (1979), *Pokażę się tobie* (1984), *Słowa do troski* (1989), *Na własny rachunek* (1993), *Wstęp do milczenia* (1993), *Wszystko tu jeszcze* (1994), *Postać w bieli* (1999), *Światło przed nocą* (1999), *Rozmowa z Rimbaudem* (2002), *Podziemne słońca / Soleils souterrains* (2004), *Coraz mniej* (2010), *Powieść ze snu* (2012), *Rzeka powrotna (zapiski i małe prozy)* (2013), *Światło przed nocą* (2014), *Pomiędzy* – album poetycko-plastyczny z Adamem Bagińskim (2015), *Powszednie niebo* (2019), *Późne lata. Wybór wierszy* (2021).

PRZYGARNIAĆ MŁODYCH, MATECZNIK OCALIĆ...

Roman Habdas

Pierwszy – po skromnych obchodach stulecia działalności Związku Literatów Polskich – zjazd, a XXXIII z kolei, odbył się w warszawskiej siedzibie przy Krakowskim Przedmieściu 3 czerwca 2023 r. Liczba przybyłych delegatów – z wyborów na wybory – mniejsza, bo i liczba oddziałów się kurczy. Z „literackiej” mapy kraju ubyły kolejne trzy. Odczytano też bardzo długą listę członków, którzy dokonali ziemskiego żywota. Wśród bardzo wielu, bliscy nam: Ireneusz Krzysztof Szmidt, Ludwik Lipnicki oraz Irena Zielińska.

W sprawozdaniu wygłoszonym przez prezesa Zarządu Głównego Marka Wawrzkiwicza nie słychać było achów i ochów. Raczej smętek o niedogodnościach działania, który powodowany jest brakiem pieniędzy. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wspiera ZLP nieznacznie. Nawet na obchody stulecia, jakie przypadły w czasie pandemii w 2020 roku, wyłożyło skromne środki. Dlatego też świętowanie połączone z tradycyjnym Warszawskim Listopadem Poetyckim, aby pomieścić dwa wydarzenia w jednym kosztorysie. Nasz gorzowski Oddział w ogólnej działalności na tle innych wygląda przyzwoicie. Prezes Wawrzkiwicz odnotował to, zaliczając nas do tych najbardziej dynamicznie działających. Bardzo miłe spostrzeżenie, ale wiemy, że bez wielkiego wkładu Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim, bez sympatii i pomocy, jaką okazuje nam jej dyrektor Sławomir Szenwald oraz oddani pracownicy placówki, mogłoby tak dobrze nie być. Za wszystko dziękujemy.

Największym bólem, o jakim wspominał w trakcie sprawozdania ustępujący prezes, był – powstrzymany na początku roku szturm władz dzielnicy Warszawa-Śródmieście na przejęcie naszego budynku, w którym swoją siedzibę ma również Związek Pisarzy Polskich i PEN Club. Na razie, czyli do przyszłego roku, sprawa została oddalona. Uruchomiono prawników, ale znając warszawskie układczyki i pokusę na taki kąsek, jakim jest budynek przy Krakowskim Przedmieściu graniczący z placem Zamkowym, czeka zadomowionych tam od ponad 70 lat najemców trudna walka. Kolejną, może dla wielu błąhą, kwestią, jaką podjął prezes, był temat... którego być nie powinno. Temat odprowadzania do Zarządu Głównego 20 procent z uzbiieranych corocznie składek. Gospodarować bez pieniędzy nie bardzo można. Mało jest oddziałów, na palcach jednej ręki można policzyć te, które w miarę realizują wymóg. Nasz gorzowski, jak inne, grzeszy zaniedbaniem. A przynależność, o czym nie powinienem wcale tutaj napomykać, zobowiązuje! Dodam tylko, że statut nakazuje po roku nieptacenia składek członków wykreślać. Zatem, moje zacne koleżanki i koledzy, co dalej?

Na zjeździe byłem z gorzowskim poetą i plastykiem Jerzym Gąsiorkiem. Z ważnych osobistych przyczyn nie mogły pojawić się: Agnieszka Moskaluk – prezeska i Beata Igielska – wiceprezeska naszego oddziału. Moja obecność na kolejnym, bo czwartym z kolei, kongresie, pozwala na wyciąganie głębszych wniosków. I takie się – po wysłuchaniu sprawozdania oraz głosów z sali – nasuwają. Nie ukrywam, że opuszczając salę, dzieliliśmy się z Jerzym Gąsiorkiem podobnymi spostrzeżeniami. Główne (o czym pisałem po zjeździe w 2019 r.) to zmniejszający się nabór młodych literatów. A ci, którzy w nim zaistnieli, nie wykazują szczególnej potrzeby działania. Na zjeździe było zaledwie kilku przedstawicieli młodego pokolenia piszących, takich w wieku do 40 lat. Ale kiedy już zajmowali stanowisko w debacie, z uwagą słuchało się odpowiedzialnych, pełnych dojrzałości i optymizmu, dla przyszłości związku, wypowiedzi. Przeciwnieństwem dużo starsi, zaprawieni w tyradach, w utyskiwaniu, zwalaniu winy na rządzących krajem. A przecież można bez niepotrzebnych „wycieczek”, byle konkretnie i prosto, bez nadymania, jak dwie młode prezeski z Rzeszowa i Olsztyna. Z tak myślącymi osobami, nie ukrywam, bardzo mi po drodze. Po drodze z tymi, którzy polityczne sympatie zostawiają w kuluarach. Bo dla dobra wspólnoty trzeba się jednać, rodzić pomysły, szukać sensownych rozwiązań, a nie oddalać od siebie z powodu różnych zapatrywań politycznych. I dobrze, że w naszym gorzowskim domu kilka istotnych dla naszego oddziału osób – z tego, co obserwuję – myśli podobnie.

A jak same wybory? Te po staremu. Prezes Marek Wawrzekiewicz, choć cztery lata temu zapowiadał, że więcej nie będzie kandydował, zdanie zmienił. A głównie dlatego, że jest warszawiakiem, że zna wpływowych ludzi stolicy, że zna ją i jego. I nikt inny, tak myślę, kiedy zamach na Dom Literatury dokonuje się, nie ma dość autorytetu, a nawet potrzebnych powiązań, którymi przy mocy prawa uda się matecznik ocalić.

Zatem prezesem ZLP na nową kadencję ponownie Marek Wawrzekiewicz. W skład Zarządu Głównego, z mocy statutu wchodzi ponadto wszyscy prezesi oddziałów z naszą Agnieszką Kopaczyńską-Moskaluk, i 15 nowo wybranych. Relację zakończę tym, że na wstępie zgromadzenia wyróżniono złotymi i srebrnymi Honorowymi Odznakami ZLP za dorobek twórczy i wkład pracy na jego rzecz, jakie z okazji stulecia związku ustanowiono, grupkę osób. Znalazłem się w owym gronie.

SŁOWA ZWICHRZONE I NAROWISTE

Beata Igielska

Dwie nowe książki Ryszarda Jasińskiego to uczta duchowa dla miłośników słowa i nieskrępowanej wyobraźni. Nic tu nie jest oczywiste, świat realny przeplata się z fantasmagorią; otulają nas obrazy, dźwięki, zapachy, smaki. Stuchamy rozmów roślin, zwierząt i ludzi. Czasem pragniemy tam zagościć, innym razem wiemy, że strzegliśmy tych miejsc...

„Dziewczyna, która zgubiła imię” to opowieść o wrażliwej nastolatce. Nadwrażliwej.

Oglądamy świat jej oczyma, smakujemy go wszystkimi zmysłami, gdyż tytułowa bohaterka lubi szukać wiatru w polu, kocha „słowa zwichrzone, narowiste i z humorem”, zasypia „utulona w słowicy szczebiot”. Słucha mowy zwierząt i roślin. Rozumie ich rozmowy i nieraz w nich uczestniczy.

Potrafi obyć się bez smartfonu, ale nie wyobraża sobie rzeczywistości bez obserwowania motyli, których nazwy zna na pamięć.

Gdy uświadamia sobie w pełni, ile czarownych rzeczy jest wokół, nagle... gubi imię. Fascynujące i zaskakujące jest śledzenie poszukiwań imienia, w których biorą udział bliscy i dalsi znajomi. Robią to także tajemnicze postaci, których jest tu wiele (m.in. strażniczka czterech niewidzialnych głazów i powstały w magiczny sposób potwór ze stawu kotkowego).

Oprócz wymyślanego świata jest też bolesna rzeczywistość.

Tytułowa bohaterka jest prześladowana w szkole przez rówieśników. Nie ukrywa, że boi się wyzwick i wyśmiewania. Jej wrażliwość na słowa nie jest rozumiana nawet przez nauczycielkę języka polskiego. Na lekcjach nie ma miejsca na barwinki, firletki i innowacyjną interpretację genezy słowa „gajda”. I nikt nie zrozumie tam, czym jest piękno ciszy, którą można smakować bezustannie...

Czy dziewczynka odnajdzie swoje imię? A może w ogóle go nie potrzebuje?

I czy ostatnie zdania książki przyniosą odpowiedzi na mnożące się podczas lektury pytania?

To kolejna, jedna z wielu tajemnic, jakie skrywa ta książka.

Podobnie jest w zbiorze „Król błot. Tuplickie opowieści”.

Tu również spotykamy tajemniczych bohaterów. Oprócz tytułowego króla, pojawiają się nieżyjące postaci; są też pocieszycielki, zagubieni w czasie; jest człowiek z dziurą w głowie, jest wólczykij i kobieta zamieniająca się w brzozę.

Niejednoznaczny jest czas, w którym rozgrywają się wydarzenia. Może to być tu i teraz albo wszędzie i nigdzie, blisko i daleko, współcześnie i dawno temu.

Nieraz akcja obfituje w wydarzenia, innym razem to „dzianie się”.

Podobnie jest z przestrzenią. To świat niewielki, ale bogaty i bez granic. Ta „bezgraniczność” towarzyszyła mi od początku do końca lektury.

Nie jest jednak tu ważne szukanie miejsc na mapie, mimo iż autor w tytule zasugerował Tuplice. Bo czym tak naprawdę jest to, co widzimy? „Nic nie zakłamuje tak rzeczywistości jak wzrok” – brzmi jedna z odpowiedzi.

Co łączy te dwie książki Ryszarda Jasińskiego?

Na pewno wielka, nieokietznana wyobraźnia autora, jego wrażliwość na przyrodę, również tę nieożywioną.

Foto: Ryszard Jasiński



Także bogactwo języka, ale nie z barokowym rozmachem. Mimo iż styl oddziałuje synestezjnie na wszystkie zmysły odbiorcy, nie ma tu niepotrzebnych słów i fraz. Chłoniemy zapachy, smaki, dźwięki, obrazy, chłód i ciepło... Ten świat początkowo zadziwia, bo na co dzień nie mamy z nim do czynienia, ale potem przyzwykamy i oswajamy się z nim, wciąż jednak mając świadomość, że nigdy nie spróbujemy kanciastego jabłka z dwoma ogonkami.

W obu książkach odnajdziemy neologizmy i słownictwo na miarę poezji Leśmiana. Niektóre opisy z „Króla błot...” przywoływały mi na myśl światy wykreowane przez Brunona Schulza, zwłaszcza fragmenty, w których pojawia się namiętność i erotyzm.

W „Tuplickich opowieściach” zróżnicowana jest narracja. Więcej tu też niepokoju, makabryzmu i motywu śmierci niż w „Dziewczynie, która zgubiła imię”.

Obie książki łączą także na pewno subtelne, inteligentne poczucie humoru oraz zaskakująco przyziemny motyw, jakim są pieniądze – nawet jeśli nie dają szczęścia, to pomagają spełniać marzenia. Inflacja jako demon żywiący się kasą oraz postępująca drożyzna to tematy, które szybko sprowadzają na ziemię i bohaterów, i czytelników.

To połączenie niezwykłości i zwyczajności jest kolejnym atutem prozy Ryszarda Jasińskiego. Warto zanurzyć się w jej świat, smakować, delektować się, karmić zmysły.

Ryszard Jasiński, *Król błot. Opowieści tuplickie*, Zielona Góra 2023

Ryszard Jasiński, *Dziewczyna, która zgubiła imię*, Zielona Góra 2023

BEATA IGIELSKA: dziennikarka, publicystka, recenzentka współpracująca z kilkoma wydawnictwami, poetka. Autorka dwóch książek, współautorka i redaktorka wielu antologii. Laureatka ponad trzydziestu ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów literackich. Prowadzi na FB grupę Książkowięci. Od 2021 wiceprezeska gorzowskiego oddziału Związku Literatów Polskich.

DLACZEGO WARTO CZYTAĆ ALSKIEGO?

Anna Dominiak

„Kobiety i Grześ” – o czym jest najnowsza powieść Jerzego Alskiego, który zastąpił już w środowisku dwunastoma książkami, utrzymanymi w specyficznej, charakterystycznej dla niego manierze? Chyba łatwiej byłoby odpowiedzieć, o czym ta książka nie jest, czego w niej nie ma. Bo tym razem w wyjątkowo obszernej, bo aż dwutomowej powieści dostajemy cały przekrój zagadnień – jest tu przyjaźń, miłość, sztuka, szybkie samochody, piękne kobiety, rasowe koty, wykwinna kuchnia, odkrycia naukowe, dygresje na temat muzyki, dyskusje o feminizmie i zagrożeniach, z jakimi mierzy się współczesny świat. Jest też refleksja o literaturze, a dokładniej polemika z wizją świata kreowaną przez Michaela Houellebecqa, którego twórczość od lat inspiruje autora.

A teraz do szczegółów. Alski pozostaje w swoim ulubionym imaginariu, powołując do życia postaci ze wszech miar ponadprzeciętne. Do tego wikła je w osobliwe fabularne perturbacje. Powieść przedstawia perypetie ekscentrycznego geniusza, wokół którego krążą piękne, nietuzinkowe, wyemancypowane i drapieżne kobiety. Wydarzenia rozgrywają się częściowo w Polsce, częściowo w Niemczech, ale także we Włoszech. Alski przenosi nas w świat społecznych, intelektualnych, no i jakżeby inaczej – finansowych elit. Kosmos tego prominentnego świata oddany jest z plastycznością godną najlepszych mistrzów realizmu. Dlatego bywamy na pulsujących ambitnym dyskursem rautach, towarzyszymy bohaterowi, gdy wybiera dla swoich kobiet gustowne auta, podziwiamy jego wybitne naukowe dokonania. Grześ (uchwytny dla wtajemniczonych alter ego autora) zabiera nas nie tylko na rajdy samochodowe, które są pasją jego ukochanej Miriam, ale także na ważne eventy do renomowanych sal koncertowych Europy. Jego bohaterowie to ludzie bardzo sobie bliscy, gotowi zrobić dla siebie wszystko, gdy sytuacja tego wymaga. Bo w ten z pozoru idylliczny świat, jak to w życiu bywa, wkraczają niepokoje: choroby czy niedające się opanować, skutkujące zdradami namiętności. Grześ i jego przyjaciele to jednak ludzie wielkiego formatu nie tylko umysłowego, ale i moralnego – pokonują choroby i, wykazując rzadko spotykaną wielkoduszność, wybaczą sobie zdrady. Co więcej – ich więzi po tych przejściach stają się mocniejsze.

Alski to wybitny znawca tematyki dotyczącej relacji między kobietami a mężczyznami, czemu dał wyraz we wszystkich swoich dotychczasowych powieściach, niezależnie od ich tematu. W „Kobietach i Grzesiu” wzbogaca tę sferę o intrygująco poprowadzony wątek homoerotyczny. Siła miłosnych więzi łączących bohaterów jest niebywała, a szczegóły tych relacji, zarówno w obszarze emocjonalnym, jak i fizycznym oddane z wybitną plastycznością. Stąd może towarzyszące momentami

lekturze odczucie wstydlivej przyjemności – podglądamy i podstuchujemy bohaterów nawet w tych najbardziej buduarowych momentach życia. Bo miłość jest tu żywiołem, który przenika wszystko.

Powyższe spostrzeżenia mogłyby sugerować, że mamy do czynienia z czymś w rodzaju opery mydlanej, dobrze skonstruowanej, lekkiej dla czytelnika, a zyskowej dla autora produkcji. Ale tak absolutnie nie jest. Wciągająca, naszpikowana zaskakującymi zdarzeniami fabuła jest tylko pretekstem do spenetrowania newralgicznych problemów współczesności. Alski bierze pod lupę choćby zagadnienie feminizmu, prowokacyjnie przywołując oślawioną tezę Ottona Weiningera o wyższości mężczyzn wobec kobiet. Dotyka też problemu odradzającego się antysemityzmu, kreując swojego bohatera na kulturowego Żyda, który swą postawą prowokuje do ksenofobicznych zachowań. Jest tu ogrom erudycyjnych odniesień do muzyki, literatury, historii – ten walor poznawczy powieści jest nie do pominięcia. Miłośnicy motoryzacji znajdą tu dla siebie mnóstwo opisów kultowych aut, pokazy rajdów samochodowych na najlepszych torach wyścigowych Europy. To bardzo smakowite kawałki tej książki!

Alski nie przestaje polemizować z ponurą i złowróżbną wizją świata, jaka wyłania się z twórczości Michaela Houellebecq, zwłaszcza w jego powieści „Serotonina”. O niej zresztą także bohaterowie „Grzesia” dyskutują. I te fragmenty również wyraźnie wynoszą powieść Alskiego ponad poziom popularnego bestsellera z gatunku *minorum gentium*.

Ciekawym zabiegiem kompozycyjnym jest także wprowadzenie bohatera, który jest ze świata treści, jak i formy tej książki. Więcej nie zdradzę, aby nie odbierać czytelnikom przyjemności smakowania tego, także konstrukcyjnego, suspensu.

W tej powieści autor kolejny raz z uporem maniaka pokazuje, jak bardzo wierzy w szlachetną naturę człowieka i jak mocno przekonany jest o tym, że ten świat, mimo wszystko, zmierza w dobrym kierunku. Pozostaje jednak pytanie, czy jest o tym przekonany, czy też tylko taką rzeczywistość projektuje.

Ale to, w czym Alski jest niezrównany, to język jego prozy. Soczysty, świeży, niesztampowy, wyrafinowany. Dla samego języka warto po te książki sięgać.

Krótko mówiąc – „Kobiety i Grześ” to kolejna dawka uzależniającej lektury.

Jerzy Alski, *Kobiety i Grześ*, Wydawnictwo Literackie Atena, Poznań 2023

ANNA DOMINIAK: polonistka, bibliotekarka, recenzentka poezji i prozy, autorka wierszy. Zajmuje się redakcją książek, a także moderuje spotkania literackie. Mieszka i pracuje w Świebodzinie.

FELIETON Z WIELOKROPKAMI

Roman Habdas

Ani prosta, ani poplątana. Może zwycięska? A może przegrana? W połowie taka i owaka. Kto wie, może przedostatnia. Ostatnia, jeśli komu dane, w trumnie lub urnie, z żatobnikami w kondukcje...

Niejedna nastolatka była mi... ale wybrałem oną. Od nieomal półwiecza idziemy po wspólnej... Kto pierwszy odejdzie? Takie myśli warte są oszwajania. Kiedy urzęczywistnią się, łatwiej... żatoby przejść i podążać dalej. Tak uważam, do takiej... zachęcam. Ważny w życiowym tańcu jest, kiedyś wyuczony na blachę, dekalog. Prosty trakt, a jednak ciągle z jego równi człowiek schodzi na pobocza, w wertepy, a tam potknięcia i upadki. I kolejny, choćby wewnętrzny rachunek, aby wyprać plamy sumienia, odprasować życie i dalej w... I nie wiedzieć, kiedy w kolejne błocko przyjdzie wleźć po nadużyciu języka, gestu, niecnego uczynku, wywyższania, tłamszenia. I kolejny zwrot akcji. Zastanowienie. Nawrotka z kolein, by wrócić, by dojść do siebie. Tyle dobrych rad, map, drogowskazów i nawigacji, a tyle błędzenia. Później kac żalu do siebie, zgaga potęgowana zgryzotą. Układ gastryczny wrzodzięje, wątroba gnije. Czy tędy...?

Tak jakoś smutasowo piszę, zbyt wyznaniowo, wewnętrznie. Może dlatego, że dopiero co odprowadziłem kilku bliskich. „Profesora” od spinningowania, a i muzyka, któremu w duszy grał wiatr na wędkarskiej żyłce. I Genia Koniecznego, poetę od wielowątkowych wierszy, styranego cukrzycą. I swoją Matkę, z domu też Konieczna, co w noc Bożego Narodzenia znalazła najlepszą chwilę na moje przyjście. Ot, w niecały miesiąc ceremonia trzech pochówków. Powiedzieć można: mgnienie chwili. Dla wspomnień długa... zadumy. Wybrzmiewają powroty do pierwszego z Jurkiem wyjazdu nad Drawę. Niekończącej się leśnej... wzdłuż rzeki. Do zachwyty nad żaglem płetwy grzbietowej dużego lipienia, zwanego kardynałem, jaki siadł mi w jego obecności na obrotówkę – „hiszpankę – longa” – w głębokim nurcie. Powroty do spotkań literackich w piwniczce MCK-u przy Drzymały i niepewności, co Geniu wymyśli, co dopowie, czy in minus, czy na plus zaskoczy, czytając na najbliższej imprezie swój przegadany wiersz. Powroty do dzieciństwa, do długiej bezsensownej frazy, zawsze przytaczanej przez Mamę, kiedy z braćmi pragnąłem plażowania nad rzeczką w upalne dni lata: *No dobrze, jak już tak bardzo chcecie się kąpać, to idźcie, ale jak mi się potopicie, do domu nie wracajcie.* I wracaliśmy szczęśliwie. I jeszcze jedna, taka bardzo... jej naturze rymowanka: *Szóste nie cudzołóz, skąd wzięteś tam połóz.* Prosta „sklejanka” odwiecznie powtarzana, z niezwykle skutecznym efektem. Uporządkowanie zakiełkowało, wrosło, owocuje. Z nim łatwiej łatwiejsze, okazało się, pokonywanie życiowej...

Ostatnio, a piszę wynurzenia na początku czwartej dekady lipca, byłem z rodziną w Krośnie Odrzańskim. Dojazd z Gorzowa Wielkopolskiego w środkowy rejon województwa jest dobry. Ale nam zachciało się pojechać jeszcze bardziej na południe i wstrzelić w Łuk Mużakowski. Wycieczka udana, widoki wyborne, zabytki odrestaurowane. Szkoda tylko, że nie wszystkie, ku celu wojażu, ... wokół Zielonej Góry, wielopasmówki najwyższego wypasu, zaś na południu prowincji wijące się, wąskie, łatanne, znaczone wieloma krzyżami ścieżyny. Ziemia Lubuska, którą ciągle odkrywam, jest mi... Chłonę jej ciekawostki, przemierzam..., sycę oczy krajobrazami, karmię się urokiem małomiasteczkowych podwórek. Wpisanych w nie koślawych szopek z drewnianymi drzwiami tatuowanymi przez lata każdą porą roku i uczepionych na dachach gołębników. Nadymanych od rana po mrok żagli suszącej się bielizny. Odkrywam zrehabilitowane pałace i zamki, w nich historyczne fotografie. I boli, że wojny, bomby, a nade wszystko głupota ludzka, potrafią niszczyć piękno, jak choćby krośnieńskiego starego miasta. Czy tędy, taka i owaka, ...?

Przyszywana krawcowa

Pomimo napařtka
wojna poraniła mojej mamie dzieciństwo
w przefarbowanej przez Niemców „Barwie”
Przymuszona do obszywania
niechcianych mundurów
śliną cerowatą zakrwawione opuszki
i nie myślała że oprócz guzików
przyszywa swoje życie
do igły z nitką

ROMAN HABDAS: poeta, pisarz, felietonista „Pegaza Lubuskiego”. Członek ZLP. Wydał książki poetyckie *W ramionach Drawy* (1995), *Żucie szczawiu* (2007) i *Z gliny ulepieni* (2009), *Stacje Drogi Krzyżowej* (2021). Ukazały się też powieści i zbiory opowiadań: *Mały Paryż* (2015), *Ludzie i rzeki, rzeki i ludzie* (2017) oraz *Żgajoki i inne opowiadania* (2019). Jest wielkim miłośnikiem przyrody i wędkowania.



Foto: Roman Habdas

KWARTAŁ U HERBERTA

Magda Turska

SPOTKANIA AUTORSKIE

27 czerwca zorganizowano spotkanie autorskie ks. Kazimierza Sowy. Podczas rozmowy z Agnieszką Kopaczyńską-Moskaluk autor „Niewiernych wiernych. Rozmów o prawdziwym Kościele” miał okazję przedstawić ideę swojej książki, która jest częściowo zapisem rozmów z takimi postaciami, jak Zuzanna Radzik, Michał Rusinek czy Tomasz Terlikowski. Okazało się, że ksiądz Kazimierz Sowa jako nietuzinkowa postać zadziałał na wyobraźnię zebranych, którzy licznie przybyli na spotkanie i chętnie zadawali pytania.



Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim

PEGAZ LUBUSKI

29 czerwca w Sali im. Zdzisława Morawskiego spotkało się środowisko literackie Gorzowa, aby świętować promocję drugiego w tym roku wydania „Pegaza Lubuskiego” (93). Tuż przed promocją wręczono statuetki (Srebrne Pióra) laureatom Wawrzynu Lubuskiego, tj. Zbigniewowi Borkowi (Wawrzyn Dziennikarski) i dr. hab. Dariuszowi A. Rymarowi (Nagroda Czytelników). Następnie Krystyna Kamińska przekazała uroczyste spuściznę literacką po Ireneuszu Krzysztofie Szmidcie naszej Książnicy. Ponadto prezeska Związku Literatów Polskich Oddział w Gorzowie Wielkopolskim Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk i dyrektor Herberta Sławomir Szenwald podpisali oficjalne porozumienie o współpracy. Wreszcie nastąpił długo wyczekiwany moment, gdy prezeska ZLP i jej zastępczyni Beata Igielska przeszły do zawartości „Pegaza Lubuskiego”, który tym razem częściowo został poświęcony niedawno zmarłej Irenie Zielińskiej. Po promocji do okrągłego stolika zaproszono Marię Borcz i Czesława Sobkowiaka. Poetka i krytyk rozmawiali o nowym jej tomiku pt. „W pułapce miejsca i czasu”.

AMERYKA W TWOJEJ BIBLIOTECE

19 maja okazał się piątkiem dla miłośników poezji. O 12:00 rozpoczęło się spotkanie autorskie dr Pauliny Korzeniewskiej, które moderowała Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk. Poetka promowała swój ostatni tomik pt. „Mniej”. Sala 102 naszej Biblioteki wypełniła się uczniami IV Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Kotarbińskiego oraz zainteresowanymi muzyką Erato mieszkańcami naszego miasta.

Kilka godzin później, o 17:00 dr P. Korzeniewska wygłosiła wykład „*Bóg stworzył jeden świat, a człowiek drugi*. O amerykańskiej poezji konfesyjnej lat powojennych”. Zebrani mieli okazję zapoznać się z biografiami najwybitniejszych postaci tego nurtu tj. Roberta Lowella, Sylwii Plath oraz Anne Sexton. Nie zabrakło interpretacji wierszy i wnikliwej ich analizy.

W dniach 31 maja i 2 czerwca zorganizowano warsztaty z elementami psychoedukacji dla licealistów. Spotkanie poprzedziła projekcja filmu Lukasa Dhonta pt. „Blisko”. Młodziż miała okazję zetknąć się z niebanalnym kinem, zwłaszcza że obraz zdobył Grand Prix w Cannes w 2022 roku, a w tym roku był nominowany do Oscara. „Blisko” traktuje o hejcie w charakterystycznej dla Dhonta poetyce, co tym bardziej wzbudziło w widzach silne emocje. Następnym krokiem warsztatów, czyli rozmowa z doświadczoną trenerką zajmującą się zawodowo m.in. psychoterapią dzieci i młodzieży, miał na celu uczulić zebranych na problemy nastolatków oraz dać poczucie, że ich emocje i zmagania nie są obojętne dorosłym, którzy chcą służyć pomocą.

Spotkania mogły się odbyć dzięki grantowi z Departamentu Stanu USA w ramach projektu „Ameryka w twojej bibliotece”.

Z HISTORII REGIONU

19 maja Julia Bork z Muzeum Martyrologii w Stońsku wygłosiła wykład pt. „*Wokół historii i pamięci. Najnowsze projekty w gminie Stońsk*” w ramach cyklu „Nowa Marchia – prowincja zapomniana – Ziemia Lubuska – wspólne korzenie”. Zapis prelekcji jest dostępny na kanale YouTube Biblioteki.

22 czerwca odbyło się przedwakacyjne spotkanie z cyklu „Nowa Marchia – prowincja zapomniana – Ziemia Lubuska – wspólne korzenie”. Prelegent prof. Stanisław Rosik wygłosił wykład o misji religijnej i politycznej Bolesława Krzywoustego na Pomorzu. Mówił również o procesach miastotwórczych zachodzących w regionie pomorskim, podjętych jeszcze przed właściwą lokacją miejską. Przeplatana anegdotami prelekcja wpisała się w przygotowania do obchodów 900-lecia założenia biskupstwa lubuskiego, nad którym sprawuje patronat Biblioteka Herberta oraz Uniwersytet Zielonogórski.

WYSTAWY

2 czerwca w Galerii „Pod Kopułą” odbył się wernisaż wystawy malarstwa Klaudiusza Pohla pt. „Akwarele gorzowskie i nie tylko”. Twórca to mieszkaniec Gorzowa, który pochodzi z Ostreszowa. Sztuką malarską i grafiką zajmuje się od początku lat 90. XX wieku. Jest członkiem Stowarzyszenia Akwarelistów Polskich. Praca jego autorstwa w 2018 roku zdobyła I miejsce w Plenerowym Konkursie Akwarelowym we Wrocławiu. W 2023 roku otrzymał stypendium miasta Gorzowa Wielkopolskiego w dziedzinie sztuk wizualnych.



Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim

16 czerwca podczas wernisażu w Galerii „Pod Kopułą” swoje prace prezentował Bogdan Leszek Bloch. Fotografie artysty były poświęcone plenerowemu festiwalowi muzycznemu Pol’and’Rock Festival i skupiały się na publiczności, którą autor ukazał z wielkim znawstwem sztuki fotograficznej, uwypuklając szczegóły, operując gamą wyrazistych kolorów, aby trafnie oddać atmosferę wydarzenia.

SŁOWO I MUZYKA

14 czerwca Stowarzyszenie Miłośników Muzyki organowej i Kameralnej „Sauerianum” z Drezdenka, prowadzone przez Wiesława Pietruszaka – przewodniczącego Stowarzyszenia, zorganizowało koncert młodych pianistów: Li Xianze i Chen Jilin. Chińscy muzycy zagrali koncert fortepianowy pt. „Refleksje wokół Stanisława Moniuszki”.

LETNIE CZYTANIE W LUBNIEWICACH (3. EDYCJA)

9 lipca w „Parku Miłości” im. dr Michaliny Wistockiej w Lubniewicach, nieopodal „Starego Zamku”, Małgorzata Kocik zaprezentowała wiersze Wisławy Szymborskiej – patronki roku 2023. Oprawą muzyczną zajął się duet: Arleta Gredka (skrzypce) i Paweł Gredka (gitarra), którzy wykonali standardy muzyki rozrywkowej. Wydarzenie było współorganizowane z Biblioteką – Centrum Kultury w Lubniewicach.

U Herberta i w filiach odbywają się cykliczne spotkania Dyskusyjnych Klubów Książki. W Dziale Dziecięcym i agendach Biblioteki przeprowadza się zajęcia dla dzieci – podczas wakacji najmłodszy mieli czas wypelniony po brzegi. Ośrodek Integracji i Aktywności obok spotkań czytelniczych organizuje m.in. wystawy plastyczne. Filie aranżują wystawy oraz wieczory autorskie. Działalność gorzowskiej Książnicy jest mocno nastawiona na czytelników, z których każdy może dopasować ofertę Instytucji do swoich potrzeb. Zapraszamy na stronę www.wimbp.gorzow.pl oraz nasze portale społecznościowe (Facebook, YouTube, Twitter).



Marta Wrzask, autorka oprawy graficznej tego numeru „Pegaza Lubuskiego” w obiektywie Jarosława Woźki

OD REDAKCJI	
Agnieszka Moskaluk: W drogę	1
WIERSZE NA OTWARCIE	
Agnieszka Moroz: ***[„Czy gdy pomyśle...”], ***[„Nocą upominają się o mnie...”], ***[„By przetrwać zimę...”]	2
TEMAT NUMERU: DROGA	
Agnieszka Moskaluk, Marek Kamiński: Życie ma sens, gdy przekraczamy granice	4
Olga Smolec-Kmoch: Cel podróży	7
POEMAT	
Joanna Ziemińska-Kurek: NAUCZYCIEL (Nauczyciel języka polskiego przygotowuje lekcję, Motyw pierwszy: Życie)	12
POEZJA	
Zbigniew Witostawski: kosmogonia, BRZEGI KRAŃCE I GRANICE	16
Łucja Fice: ***[„Pod lampą przestrzeni przy bramie Andromedy...”]	17
Z ŻYCIA WZIĘTE	
Krystyna Dziewiątowska-Gintowt: Droga z A do R	18
MAŁA PROZA	
Agata Wolska: Droga	20
MINIATURA	
Jacek Lauda: Idę	24
TRYPTYK	
Z. Marek Piechocki: Tryptyk rokitański	25
WIERSZE	
Jerzy Hajduga: Listy wracają, Żywe słowa, Listowna liryka, Wyciągnij mnie	28
POEZJA	
Adam Korzeniowski: Historia zatacza koło	29
OPOWIADANIE	
Hanna Bilińska-Stecyszyn: Spod rżęs	30
Aneta Gizińska-Hwozdyk: W imadle asfaltowych objęć	38
POEZJA	
Jolanta Karasińska: Pożegnanie, Na zakręcie	40
Janina Jurgowiak: Daj się prowadzić, Obrazek z Gorzowa	41
OPOWIADANIE	
Agnieszka Moskaluk: Gorzów – Zielona Góra	42
MINIATURA	
Beata Patrycja Klary-Stachowiak: Madonna z przystanku	44
SATYRA	
Ferdynand Głodzik: Imienia Schodowa	45
MŁODZI PISZĄ	
Milena Guzik: Poszukiwany	46
(NIE TYLKO) DLA DZIECI	
Weronika Górnicka: Ścieżka życia	50
Z POŁUDNIA	
Czesław Sobkowiak: Petno	52
ZLP PO XXXIII ZGROMADZENIU	
Roman Habdas: Przygarniać młodych, matecznik ocalić... ..	56
RECENZJA	
Beata Igielska: Słowa zwichrzone i narowiste	58
Anna Dominiak: Dlaczego warto czytać Alskiego?	60
PROSTO Z WINDSORU	
Roman Habdas: Felieton z wielokropkami	62
KWARTAŁ U HERBERTA	
Magda Turska	64

8

PAŹDZIERNIKA

2023

17:00

BIBLIOTEKA HERBERTA
UL. SIKORSKIEGO 107
SALA NR 8



PADOK PEGAZA

otwarte warsztaty literackie z
Markiem Lobo Wojciechowskim

MASZ BOGATĄ WYOBRAŹNIĘ, ALE NIE WIESZ, JAK PRZELAĆ
SWOJE POMYSŁY NA PAPIER?
WYMYŚLASZ HISTORIE, ALE BRAK CI PEWNOŚCI, ŻE UDA SIĘ Z
NICH STWORZYĆ FORMĘ LITERACKĄ?
PISZESZ WIERSZE, OPOWIADANIA, POWIEŚCI, ALE ZALEŻY CI
NA TYM, BY ROZWIJAĆ WARSZTAT I TWORZYĆ CORAZ LEPIEJ?
MAMY COŚ DLA CIEBIE!
ZABIERZ SWOJE TEKSTY NA PENDRIVE
I BĄDŹ GOTÓW DO PRACY!

Zadanie realizowane dzięki dofinansowaniu UM Gorzowa

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta
w Gorzowie Wielkopolskim



VIGORZOWSKA HERBERTIADA

pt. „Doświadczenie amerykańskie w poezji Herberta”

27 października (piątek) 2023 r.

gmach WiMBP, ul. Sikorskiego 107
(wejście od ul. Kosynierów Gdyńskich)

PROGRAM:

„Dolina Śmierci wieczną inspiracją” - warsztaty dla młodzieży
(liczba miejsc ograniczona, obowiązują zapisy,
nr tel. 95 727 70 70)

- prowadzenie **Mariusz Mężyński**

godz. **11.00**

sala 110

„Na pustyni należałoby założyć szkołę poetycką”

- podcast Polskiego Radia Dwójki z cyklu „Głosy z przeszłości”

godz. **17.00**

sala 102

„Tropy amerykańskie w twórczości Herberta”

- wykład prof. dr hab. Małgorzaty Mikołajczak

godz. **17.15**

sala 102

„Ostatnie tango z Herbertem”

- monodram w wykonaniu

Przemysław Tejkowski

godz. **18.00**

sala 102



Opakowanie ze środków
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego
i pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury